Stefan Baryczka.

Tom I.

Powieści i Nowelle

KANDYBIANKA

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA.

RUDIN

NOWELA.

WARSZAWA
Gebethner i Wolff.

ŻYTOMIERZ
I. Zawadzki.

KIJÓW
Idzikowski, Koreywo.

Skład główny u Autora w Żytomierzu

1894.

Stefan Baryczka.

POWIEŚCI i NOWELE

Tom I.

KANDYBIANKA

Powieść Ukraińska.

RUDIN

Nowela.

WARSZAWA
Gebethner i Wolff.

ŻYTOMIERZ
I. Zawadzki.

KIJÓW
Idzikowski, Koreywo.

Skład główny u Autora w Żytomierzu.

1894.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 22 Февраля 1894 года.

Warszawa. Druk A. Ginsa. Nowozielna № 47.

KANDYBIANKA.

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA.

KANDYBIANKA.*)

I.

Patrzcie, — kraj wzgórzami płynie,
Jak zielone fale morza,
A tam dalej, hen w dolinie,
Otoczona złotem zboża,
Otulona nocy mgłami,
Leży wioska snem uśpiona.
Ze swą cerkwią i chatami,
W mgłach, jak w stawie pogrążona.
Tam, to sam z tej mgły wiatraki,
Nieruchome wznoszą skrzydła,
Przy nich bodiak swoje krzaki,
Porozstawiał jak straszydła.
Cisza w koło, tylko w dole,
Leci woda na łotokach,
I na młyńskiém szumi kole,
I chór świerszczy, hen po tokach,

---

*) Treść powieści osnuta na zdarzeniu rzeczywistem.

Kończy nocne swoje pienia. —
Lub gdzieś słowik rozmarzony,
Mówi lubej do widzenia,
I tęskliwe rzuca tony.
Lecz te wszystkie nocne krzyki,
Zagłuszają całkiem prawie,
Niby swarnych bab języki,
Wielkie chóry żab na stawie.—
Świta, świta, gwiazdy gasną,
Księżyc w pełni, niby drzemie
Na zachodzie, i twarz jasną,
Na wpół schował już pod ziemię.
Świta, świta, — tam na wschodzie,
Już rzednieją nocne mroki,
Światło płynie jak po wodzie,
Srebrzy niebo i obłoki,
Zadumane ciche gaje,
I kształtuje każdą chmurę,
Tak się wzmaga, iż się zdaje,
Że ktoś z lampą idzie w górę. —
Coraz przedmiot widzisz nowy:
Światło z nocą szumią bitwą,
Tu już szemrze las sosnowy,
Uroczyście, jak modlitwą,

Tam mgły nocnej całe zwoje,
Z nad doliny się ruszyły,
Niby sennych duchów roje,
Mokre, chwiejne, jak bez siły, —
Jedne rosą wilżą pole,
Drugie szybko mkną do góry,
A na niebie, tam na dole,
Już w purpurze modre chmury,
Przetykane w złote blaski. —
Ziemia wdziewa barwne szaty,
Różowieją pola, laski,
Różowieją białe chaty. —
W koło cisza tajemnicza,
Jakby wielki mocarz ziemi,
Pan ziemskiego ognia, — żnicza,
Z potęgami kroczył swemi. —
W tem złocistych chmurek grono,
Niby jego świetne gońce,
Pierzchły w górę, i na łono
Czystych niebios zeszło słońce.
Wnet promieni swych strzałami,
Gwar i życie w koło budzi,
I po ziemi, już falami
Płyną zwierząt, ptaków, ludzi,

Pomięszane z sobą głosy,
Szumią rzeki, szumią drzewa,
Gwar się wznosi pod niebiosy, —
Ziemia chwałę Bogu śpiewa! —

II.

Przez kominy i przez dachy,
Pierzchły wiedźmy i złe mary,
Te kochane ludu strachy,
Te pamiątki starej wiary.—
I w dolinie czysto, jasno,
Niby słońcem wymieciono.
Już łuczywa w chatach gasną,
Na przypieckach rozpalono.—
Baby w garnkach warzą strawę,
I zbierają wiejskie plotki,
Na wieczorną swą zabawę, —
Lub wieszają na opłotki,
Umajone powojami,
Swe hładyszki czarne, duże,
A na przyźbie dziad z sieciami,
Do więcierzy kołki struże.

Mołodyce trą konopie,
Aż pryskają z nich paździerze,
A tam dalej, tuż przy szopie,
Gdzie złożono siano świeże,
Głosy dzieci brzmią wesoło. —
W koszulinach chłopiąt parę,
Psa za ogon ciągną w koło,
Warczy biedne, psisko stare,
I swój ogon rwie kudłaty,
Wśród radośnych chłopiąt krzyków,
Wtem wybiegła matka z chaty,
I nagnała napastników. —
Gwar i życie w całém siole, —
Jak lustrzana tafla skrami;
Staw szeroki świeci w dole,
A nad stawem, pod płotami,
Na zielonej łąk pościeli,
Niby długie śniegu płaty,
Szare płótna słońce bieli.—
Dalej sady, białe chaty,
A nad niemi, butnej miny,
Niby czapki, barankowe
Ukraińskie, — to kominy,
Okopcone wznoszą głowy,

Nad chatami czernią w dali,
Z nich błękitny bucha dymek,
Niby chłop swą lulkę pali,
Wesół z lata i dożynek. —
Przez staw długa grobla bieży,
Kolejami poorana,
Nad nią wieje wietrzyk świeży,
Przy niej huczą młyny pana. —
A przez groblę, w dzikim tłoku,
Pędzą owce, jak szalone,
Przy nich dziewki biegą z boku,
I spędzają je na stronę,
Wśród obłoków złotych pyłu. —
Owce cisną się głowami,
A za niemi, zaraz z tyłu,
Wóz wywrócił się z snopami,
A parobek rozzłoszczony,
Biedne wołki bić zaczyna,
I wyrzeka na wsze strony. —
A tam, niżej trochę młyna,
Młode dziewki piorą chusty,
O różowe bijąc stopy. —
Wiatr przynosi ich śmiech pusty,
Woda tryska w srebrne snopy,

I rozbiega się na strony.
Pracze dzwonią i śmiech dzwoni,
A dziewczęta pochylone,
Widzą w wartkiej, modrej toni,
Swoje młode, śliczne oczy,
Swe koszule wyszywane,
Jasne wstęgi swych warkoczy,
Niby w wodzie malowane. —
Dziewki piorą i wciąż gwarzą:
„No rozpowiedz nam Oksano,“
Mówi Kaśka z dużą twarzą,
„Czegoś wstała dziś tak rano,
„I co słychać w waszym dworze?“
„At,“ odpowie jej Oksana,
„Tak już źle, że niedaj Boże!
„Źle, bo niema w domu pana. —
„Stara pani Orsaczycha,
„Taka dobra, miłościwa,
„Cóż, gdy ciągle tylko wzdycha,
„I panicza swego wzywa, —
„A on gdzieś tam w świecie hula.—
„A we dworze, ta klucznica,
„Znasz ją przecie, ta zozula,*)

*) Kukułka.

„Wszystkiem trzęsie ladaszczyca!“
„No, a panicz, chłopiec ładny?
„Zna go stara Jaremycha,
„Mówi, ładny i zaradny,
„Że narobi dziewkom licha,
„Skoro wróci już do domu!“
Dziewki w śmiech, a Kaśka woła:
„Cóż on zrobić może komu?
„Ja się go nieboję zgoła,
„Przeszła już pańszczyzna przecie,
„I na niego jest Mirowy.*)
„Ale może mi powiecie,
„Czy też wybił sobie z głowy,
„Ten wasz Jurek swoją Hankę?“
„Gdzie tam zawsze doniej wzdycha,
„I zaciąga w pogadankę,
„Jakby zjadł jakiegoś licha.
„Słodkie do niej robi migi,
„Tka jej byndy **) i wciąż swata,
„Choć mu dziewka daje figi
„I wyśmiewa, jak warjata.
„Gdzież się jemu brać do Hanki,
„Najbogatszej dziewki sioła,

*) Sędzia pokoju. **) Wstęgi.

„Jej świtają w głowie panki!“
„Głupi!“ Kaśka duża woła:
„Lata warjat Bóg wie za czém!“
A w jej oczach gniewu blaski,
I tu tak stuknęła praczem,
Że, rozleciał się na trzaski!

III.

Tak zbudziły się Moszczany,
Jedna z wiosek Ukrainy. —
Orsakowie, wielkie pany,
Czystej wody karmazyny,
Byli Moszczan odwiecznymi
Dziedzicami, a obszary
Ukraińskiej bujnej ziemi,
Z swemi lasy, wody, jary,
Co do Moszczan należały,
Na wiorst kilka biegły w koło. —
Więc Orsaków szereg cały,
Żył dostatnio i wesoło,
Służył w wojsku i w Senacie,
Marszałkował później szlachcie,

I tak sobie, panie bracie,
Na życiowym hulał trakcie,
Że, gdy przyszły burz zawieje:
Uwłaszczenie i podatki.
A rozprysły się nadzieje
Na żeniaczki i na spadki,
To, dla dziecka rodu tego,
I dla wdowy jego matki,
Z mienia niegdyś szerokiego,
Pozostały tylko szmatki, —
Ledwo trzecia Moszczan scheda.
Choć i to był kęs nielada,
Ale całkiem prawie bieda,
Dla takiego, co wciąż gada
O świetności antenatów,
A sam zrobić nic nieumie,
I należy li do gratów,
Co w społecznym giną tłumie.
Szczęściem panicz, Orsak z rodu,
Piękny Janek był człowiekiem:
Dobrze uczył się za młodu,
W wielu rzeczach szedł z swym wiekiem,
W innych miał odmienne zdanie:
Był jak mówią demokratą.

Drwiły z niego piękne panie,
On im drwiną płacił za to,
I, zbiegł od nich za granicę,
Nie dla próżnej tam zabawy,
Lecz, by poznać tajemnice
Własnej roli i jej sprawy.
A w Moszczanach pozostała,
Smutna pani Orsaczyna.
Modłom się oddała cała,
Prosząc Boga, by dla syna,
Dał bogatą, piękną żonę.
Ach! bogatą, nic bez tego,
Gdyż bolało tę matronę,
Dumną z rodu szlacheckiego,
Że Orsaków ród na Rusi,
Tak bogaty niegdyś przecie,
Dzisiaj skromnie żyć już musi.
Że jej Janek, drogie dziecie,
Z tych splendorów ma ostatek. —
Lecz przebaczyć jej to trzeba,
Miała serce czułych matek,
A te dla nas pragną nieba,
Jakie same pojąć mogą,
I najczęściej idą z ciałem. —

Lecz duch leci inną drogą,
By się spotkać z ideałem.
Płaczą wtedy, jak płakała
Przenajświętsza, pełna troski,
Gdy pod krzyżem w bólu stała,
Aż upomniał ją syn boski,
Ukazując niebo ducha.
Kochające niewiast serce,
Przedewszystkiem zmysłów słucha,
I dla tego są w rozterce,
Z roztkliwioną własną duszą,
Ztąd ich troski, łzy i żale,
Że najczęściej tam iść muszą,
Dokąd może niechcą wcale. —
Więc i pani w Moszczan dworze,
Dla synaczka chciała nieba:
To jest: miękie, ciepłe łoże,
Mnóstwo złota, dużo chleba,
Długie życie, choćby wieki,
Nie piechotą, lecz w karecie,
A gdy zamknie już powieki,
Jej jedyne drogie dziecie,
Pogrzebowe chce mieć mowy,
I w herbowne strojny znaki,

Pomnik nad nim marmurowy,
Z nadpisami czém Orsaki,
Na tej bożej ziemi były. —
Czy tak wszystko pójdzie składnie,
By te mary się ziściły,
Któż przewidzi to, lub zgadnie?
A tymczasem z Moszczan pani,
Porządkuje dwór swój stary:
Sług to chwali, to znów gani,
Snując ciągle złote mary. —
Opatruje wszystkie kąty,
I wygłasza sługom wszędzie,
Że to dzisiaj już jest piąty,
Za dni dziesięć panicz będzie. —
I z Jurasiem sługą syna,
Co z jej Jankiem wyrosł prawie,
Ciągle rady rozpoczyna,
I uprasza go łaskawie:
„Proszęż ciebie mój ty Jurku,
„Omieć wszystkie książki z prochu,
„Te, co panicz ma na biórku,
„Uporządkuj wszystko trochu. —
„To twój panicz, wiesz zapewnie,
„Jak on lubi gdy jest czysto.“ —

Jurek słucha, z nudów ziewnie,
Wreszcie z twarzą uroczystą,
„Słucham pani,“ odpowiada,
„Wszystko het już oszyszczono.“
A ten Jurek, chłop nielada;
Czarną, gęstą, najeżoną,
Na łbie niskim ma czuprynę,
W ciemnych oczach wyraz srogi,
Wpół cygańską, dziką minę,
Pierś szeroką, krótkie nogi. —
Obejść się nieumiał z niczém,
To też nic nierobił prawie,
Lecz, że razem rósł z paniczem,
Więc znoszono go łaskawie. —
Po tym Jurku Orsaczyna,
Gdy podano na stół świce,
Mając w myśli ciągle syna,
Przywołuje swą klucznicę,
I od drogiej swej Grabosi,
Żąda wróżby i kabały,
A choć stara się i prosi,
Musi wróżyć wieczór cały. —

IV.

Po skończeniu tej zabawy,
Szła Grabosia z troską w twarzy,
Pełna strachu i obawy,
Przez ciąg długich korytarzy,
Do skromniutkiej swojej celki. —
A jej blade, drżące usta,
Wciąż szeptały: „niech duch wszelki“
„Chwali Pana!“ Przestrzeń pusta
Korytarzy ją straszyła. —
Moszczan dwór miał smutną sławę, —
Że w nim jakichś duchów siła,
I szatańskie jakieś sprawy. —
Dworscy starzy, czeladź cała,
Na Chrystusa święte rany
Przysięgała, że widziała
Postać ducha. Był ubrany
W kontusz czarny, żupan biały,
Karabellę niósł w swej dłoni,
Z oczów ognie mu strzelały,
Czapkę dużą, miał na skroni,
A na czapce, w miejscu kity,
Dwa piszczele trupich kości.

Pas na biodrach srebrem szyty.
Stąpał cicho wśród ciemności.
Czasem mieczem swym zadzwoni.
Głucho jęknie i znów kroczy. —
W ogrodowej raz ustroni,
Widział go na własne oczy,
Jurek młody, Marta stara,
I widziała go Oksana:
Przez korytarz szła ta mara.
Dziewka trzęsła się do rana,
Zlana cała strachu potem. —
A gdy później, już w dzień biały,
Powiedziała pani o tem,
O czem dwór gawędził cały, —
Pani zbladła i znak krzyża
Robiąc, cicho rzekła: „Boże!“
„Snać, nieszczęście znów się zbliża,
„Skoro Miecznik był we dworze!“
Później we łzach tonąc cała,
Nieprzytomna, w strachu prawie,
Srodze dziewce zakazała,
Rozpowiadać o tej sprawie. —
Ale potem, w miesiąc pono,
Śmierć porwała pana z sobą,

W grobie przodków go złożono.
Dwór owinął się żałobą,
Pani wdziała wdowie szaty. —
Odtąd różne gadki snuto,
I mówiono: że przed laty,
Żył we dworze, sławny butą,
Jakiś pradziad tych Orsaków. —
Był wojskowym i Miecznikiem,
Strasznym biczem na kozaków.
A dla ludu okrutnikiem.
Lecz i złe miał, dzikie losy:
Chciał chłopowi odciąć rękę,
Brat Miecznika odbił ciosy,
Miecznik brata dał na mękę,
I z okrutnem sercem kata,
Nad nim pastwił się wyrodnie,
Wreszcie, zabił swego brata. —
Bóg go skarał za te zbrodnie,
I za życia i po śmierci:
Lud pochwycił w gniewie noże,
I porąbał go na ćwierci,
Krwią zlewając pańskie łoże. —
Odtąd mściwy duch przeszłości,
Pokutował w starym dworze,

Chodząc z jękiem wśród ciemności. —
Ilekroć wyroki boże,
Na Orsaków zapaść miały,
Rzucał piekieł czarne światy,
Bratnią krwią zbroczony cały,
Wdziewał swe żałobne szaty,
I wśród żalu za swe winy,
Skierowywał straszne kroki,
Pod dach wnuków swej rodziny,
Niosąc niebios im wyroki,
Potem znów zapadał w piekło. —
Czy to prawda? czy to baśnie?
Wiele odtąd lat uciekło,
Gadki jednak blask niegaśnie,
Lecz wciąż żywszą wzbudza wiarę, —
Jakby dziady i ojcowie,
Mściły się za grzechy stare,
Na niewinnej wnuków głowie.
Baśnia ta, czy prawda cała,
Choć się nieraz z niej i śmiano,
Dwór Moszczański osmucała.
W dzień pogodny, kiedy rano,
Słońce złoci dworu ściany,
Żółto-szare od starości,

Był wesoły i rumiany,
Jak gospodarz, co swych gości,
Najserdeczniej prosi w progi. —
Lecz, w dzień chmurny miał na twarzy,
Smutny wyraz, niby trwogi,
Jak by stawał tu na straży,
Duch z minionej tej przeszłości,
Kiedy Miecznik żył w tych ścianach,
I zagłuszał śmiech radości,
Wodząc okiem po swych łanach. —
Jak by wołał i dziś prawie,
Rozpędzając wszystkich w koło;
„Ja się tutaj tylko bawię,
„A dla drugich niewesoło!“
Uciekało wszystko wtedy,
Na głos pana, co się gniewa,
Umykały jak od biedy,
Ludzie, ptaki, nawet drzewa. —
I tych lip odwieczne lasy,
Groźbę też słyszały pana,
Były młode w owe czasy. —
Dzisiaj, jak potężna ściana,
W zieloności stoją gmachu. —
Niby chłopi, dwór w około

Otoczyły, i ze strachu
Już niepierzchną, mogą czoło
Stawić groźbom; ich konary,
Tak zakryły dachy dworu,
Że Moszczański dom dziś stary,
Skromnym dworkiem jest z pozoru,
Tak wśród drzew olbrzymich tonie.
Choć dwór duży, murowany,
Oficyny miał na stronie,
Mocne bramy i parkany. —
Na dwóch skrzydłach baszty małe,
Na lamusy i śpiżarnie,
A w tych basztach roje całe
Niedoperzy, co bezkarnie,
Jak ćmy wielkie wciąż fruwały,
Skoro padły nocne zmroki. —
W środku schody, z dzikiej skały,
Prowadziły na szeroki,
Główny dworu, wielki ganek,
Ná szeregu słupów sparty. —
W pogan stylu, jak krużganek
Świątyń Rzymu, albo Sparty.
A na ganku, tuż przy progu
Słowo „Salve!“ wyrzeźbiono,

A nie swojskie: „Sława Bohu!“
Którém gościa w dom proszono. —
Dalej stały znów piekarnie,
Murowane stajnie duże,
Różne składy i praczkarnie.
Przy nich rosły dzikie róże,
I jaśminów całe krzaki. —
Dalej różne chwasty, gnoje,
A za niemi już bodiaki,
Co puszyste liście swoje,
Wznoszą w górę, zbrojne w oście.
Jak świeczniki w starym dworze,
Co się palą, gdy są goście. —
Bujna ziemia rodzi zboże,
I bodiaki, strojne w kwiaty,
Ukraińce — szczere z rodu,
Otaczają dwór i chaty
Darząc wszystkich wonią miodu.
A tam dalej, gdzie moczary,
Rozsochatych topol rzędy,
Z nich gawronów lecą gwary,
I krzykliwe ich gawędy. —
A gawrony, lud ciekawy,
Lubią zbierać różne baśnie.

Mogą widzieć ludzkie sprawy,
I szeroko patrzeć właśnie,
Na ten wiejski świat w około,
Ze swych gniazd na drzew wyżynie. —
Widzą z tamtąd całe sioło,
Co w błękitnej dali ginie. —
Widzą staw, i drogę całą,
Wysadzaną topolami,
Hrehorego chatę białą,
Co małemi okienkami,
Wprost na dworski patrzy ganek. —
Widzą także Hrehorego,
Co siadł sobie w jasny ranek,
Hen na przyźbie dworku swego,
I rozgląda się na strony,
Z jasnym okiem, czerstwą twarzą. —
Wszystko widzą to gawrony,
I o wszystkiem zaraz gwarzą!

V.

Oj bogatyż ten Hrehory,
A choć chłop, to chłop nielada:

Pełne bydła ma obory,
Owiec, wołów piękne stada. —
We dwa pługi skibę orze,
I kilkoro ma czeladzi,
A w obszernej swej komorze,
Ma słoniny pełno w kadzi.
Beczki miodu z swej pasieki,
Śliwki, jabłka, różne grzyby.
Całe półki i zasieki,
Zasuszonej słonej ryby, —
Słowem, w pańskim nawet dworze,
Wśród ubóstwa dzisiejszego,
Nie znalazłeś tego może,
Co w śpiżarni Hrehorego. —
Był on owych kmieci synem,
Chleborobów Ukrainy,
Co po walkach z Tatarzynem,
Przyszli w step ten i ruiny,
I wioskami, ze stadami,
Wołów, owiec i baranów. —
Tak, iż znowu Ukraina,
Popłynęła mlekiem, miodem,
Znikła pustka i ruina,
Kraj zaszumiał znów narodem, —

Szarym ludem tych Iwanów,
Co mordował się z Polaki,
I, co świeżo wzięty z łanów,
Turkom dał się dziś we znaki,
I na dumny krzyk Alego,
Dał odpowiedź mu wymowną,
Pod dowództwem Paszkowskiego
I Sągajły pod Cerkowną. —
Z ludu tego był Hrehory,
A Kandyby miał przezwisko,
Do rozmowy nie był skory,
I niekłaniał się też nisko,
Nawet przed swym Uradnikiem,
Choć ten bywał w jego chacie,
Ze starostą i sotnikiem,
Na kieliszku i herbacie. —
Czuł się najbogatszym z wioski,
Niby Krezus w chłopskiém mrowiu,
Więc mógł sobie żyć bez troski,
Jak półpanek, w swojém zdrowiu.

VI.

Lecz najdroższym skarbem jego,
Co mu w koło zazdroszczono,
Celem życia Hrehorego,
Była córka jego pono. —
Śliczna dziewka Kandybianka,
Jedynaczka i bogata,
Wszystkim znana młoda Hanka,
Jak jest znaną jego chata.
Sam wychował swą sierotę,
Bo mu dawno zmarła żona,
Pieścił więc swe ptaszę złote;
Jego szczęściem była ona.
Chłop nasz żyjąc w poniewierce,
Samolubem jest nielada,
Lecz, gdy kocha, całe serce,
Całą duszę w czucie wkłada. —
Więc, choć wciąż do jego chaty,
Przepasani ręcznikami,
Od parobków biegły swaty,
Z przemowami i darami, —
Zawsze gładząc swoją brodę,
Odpowiadał im Hrehory,

Że dziewczątko jeszcze młode,
I trza czekać lepszej pory.
A dziewczyna z nich się śmiała,
Mówiąc, że dostały guzy,
I jak słonko, jasna cała,
Kładła w progu im harbuzy.
Różne z Moszczan parobczaki,
Pożądały serca Hanki:
Gmin pisarze, młode diaki,
I sąsiednich siół półpanki.
Sam Uradnik, Hrehorego,
Chciał jak mówią zażyć z mańki:
Żyda Moszka słał do niego.
Lecz jak z mydła nikną bańki,
Tak prysnęły jego mary:
Hanka dała mu harbuza,
Tylko śmiał się Hrehor stary
Z Uradnika, jak z łobuza. —
A ten Jurek, przecie dworak,
Szalał za tą Hanką prawie,
Ciągle miał ją dziś nieborak,
We snach nocnych i na jawie.
Bo też śliczną była ona:
Na jej główce las warkoczy,

Jak złocistych lnów korona;
Miała modre, ciemne oczy,
Silne biodra, pierś wyniosłą,
Jak wąż giętka w cienkim pasie,
Była silną, lekką, rosłą, —
I wdzięczniejszą, niż w atłasie,
Najpiękniejsza miejska pani. —
Chód jej prosty, lekki, pewny,
Miał coś z wdzięcznych ruchów łani,
I powagę, jak królewny. —
Płeć jej twarzy, jasnej skroni,
Tak ciepłego była blasku,
Jak świeżutki kwiat jabłoni,
Co się złoci w słońca brzasku. —
A jej pełnych ust korale,
Co skrywają ząbki białe,
Tak wesoło i zuchwale,
Swawoliły w śmiechu całe,
Że nierozśmiać się z nią szczerze,
Tym wesołym dziecka śmiechém,
Co zaprawdę wszystko bierze,
Byłoby prawdziwym grzechem.
Jasnych ócz jej blask aż mroczy:
Zda się dziatki całym rojem,

Na świat patrzą przez te oczy,
A różowem ciałkiem swojém,
Rumieńcami twarz jej kryją,
I całują ust serduszko,
Pieszczą się z jej białą szyją,
Coś w malutkie szepczą uszko. —
Potem małe swawolniki,
Wesolutką całą zgrają,
Niby błędne ócz ogniki,
Znów wstydliwie się skrywają,
Od obcego ócz pogoni,
Pod jej ciemnych rzęs firanki. —
Jak aniołki w niebios toni,
Giną w oczach pięknej Hanki. —
Piękną, piękną Hanka była,
Dobrą duszą, wdziękiem twarzy!
Taką tworzy boska siła,
Skoro tylko się niezdarzy,
Że czart, wieczny wróg piękności,
Na przeszkodzie tu niestanie,
I promienny twór miłości,
Przez swe sztuczki, mędrkowanie,
W arlekina nie przestroi,
Nie obetnie skrzydeł duszy,

Nie da mu błazeńskiej zbroi,
Głosów serca nie zagłuszy, —
I z posągu, malowidła,
Gdzie promieniał duch tak hardy,
Nie wytworzy złe straszydła,
Godne śmiechu, lub pogardy!..

VII.

Dzisiaj Hanka wstała rano:
Dosypała kurom ziarna,
I zajęła się śmietaną.
Później oczyściła żarna,
Potem kraśne swe paciorki,
Na bielutką szyję wdziała,
I zasiadła łatać worki,
Jak jagódka świeża cała. —
Ciotka zaś jej, Wasylina,
Kończy warzyć już śniadanie,
I nakrywać stół zaczyna. —
Słonko biega już po ścianie
I oświeca Hanki głowę,
Pozłacane świętych szaty,

I oblicza ich surowe,
Co w kąciku wiszą chaty.
W izbie cicho i wesoło:
Hanka w workach daje łatki,
Pochylając białe czoło, —
Tylko w progu dwie czubatki:
Jedna żółta, druga czarna,
Pod dowództwem białej kwoki,
Chciwie dziobią jagieł ziarna,
I drobnemi skaczą kroki. —
W tem skrzypnęły drzwi u progu,
Pierzchły kury i Hrehory
Wszedł do izby z sława Bohu!
Choć do mowy i nieskory;
Rzekł do Hanki patrząc w koło:
„Jak się macie, złota doniu!“
Pocałował dziewczę w czoło,
Siadł na ławie jak na koniu,
I zawołał: „sniadać pora!“
Wasylina z kartoflami
Rynki stawia przed Hrehora,
I polewa je skwarkami,
Później z kaszą garnek duży,
Chleb i sól i nóż szeroki. —

Hanka zwija się i służy,
Stawiąc szybkie, drobne kroki. —
Stary je powoli składnie:
Weźmie łyżką coś tam z rynek,
Przełknie, znowu łyżkę kładnie —
Jeść dla chłopa odpoczynek. —
Wreszcie otrząsł kaszę z brody,
I do córki rzekł w te słowa:
„Znów mię spotkał Jurek młody.
„Nie pojmuje jego głowa,
„Czemu nie chcesz go na mężża. —
„Pragnie ciebie z twoją chatą,
„Jak by głupiec połknął węża.
„Cóż ty złota doniu na to?“
„Ach mój tatu! to nasłanie!“
Hanka ojcu odpowiada:
„Czyste boże ukaranie. —
„Czyż jam temu ojcze rada?
„Przylgnął do mnie, jak ta smoła,
„I odczepić go nie mogę!“
Z drzeniem w głosie Hanka woła:
„Niechże idzie w swoją drogę,
„Próżne jego skargi, żale!“
Na to ojciec odpowiada:

„Ja go też nie lubię wcale,
„Wiem, że hultaj to nielada,
„Więc niewarto mówić o tem!
„Czyż ja, doniu, cię niewolę?
„Twój mąż znajdzie się i potem,
„Jak poczujesz bożą wolę. —
„A tyś u mnie w świecie jedna,
„Lada komu nie dam ciebie,
„Moja ty ptaszyno biedna!
„Wolę lepiej zabić siebie
„Niż zmarnować twoje lata!“
Na to Hanka rzecze z płaczem:
„Niech mię więcej nikt nie swata,
„Nie zamanią mię kołaczem,
„Bo nie lubię z nich żadnego,
„Wreszcie, lata moje młode,
„A więc dosyć, dosyć tego!
„Lepiej pójdę ot po wodę,
„Wasylinie do objadu!“
Tem skończyła żale swoje.
Później wzięła wnet ze składu,
Koromysło, wiader dwoje,
Lekko, zgrabnie, niby piórko,
Zarzuciła je na ramie,

Przeszła prędko przez podwórko,
Poprawiła, już aż w bramie,
Fałdy kraśnej swej spodnicy,
I przez osty i pokrzywy,
Szybko poszła do krynicy,
Niby grecki posąg żywy,
Podzwaniając w takt wiadrami. —
W krótce była już pod górką,
Gdzie krynica pod wierzbami. —
Wtem Bóg wie zkąd wziął się Jurko.
Hanka staje patrzy, w koło. —
„No, dzień dobry, jak się macie?
Mówi Jurek doń wesoło:
„Co tam słychać w waszej chacie?
Hanka mu nie odpowiada
Milcząc wiadra swoje stawia,
Chce brać wodę, cała blada. —
„Z kąd dziś macie postać pawia?“
Mówi zły już, dziki Jurek. —
Chce jej pomódz, — cóż u licha,
Chce jej z wiadrem ciągnąć sznurek,
Czegoż Hanka go odpycha?
Jurek szybko od koryta,
Staje tuż przy Hanki boku,

I w objęcia dziewcze chwyta. —
Lecz gniew błysnął w Hanki oku,
I tak silnie pchnęła Jurka,
Że ten upadł, jak polano,
Aż potoczył się z pagórka.
„Czy durmanu zjadłeś rano?
„Idź mi precz ztąd, ty warjacie!“
Jurek wstał upokorzony.
„Cóż wy do mnie, Handziu, macie?
„Że chcę dać wam imie żony
„Za to tak mię marnujecie?“
Mówi Jurek cały w prochu.
„Handziu miła! drogie dziecie,
„Ot pokochaj mię choć trochu. —
„Jam ubogi, lecz w potrzebie,
„Wnet zobaczysz, że ja zrobię,
„Jeszcze większą panię z ciebie,
„Skoro ujrzę cię przy sobie. —
„Panicz da mi pługi, woły,
„Żyć będziemy jako pany,
„Pełne zboża mieć stodoły,
„Nowy dworek malowany,
„Cóż ty droga Handziu na to?“
Hanka milczy, mówi w końcu:

„Dobrze mi i z moją chatą,
„Co bieleje, hen na słońcu,
„A wam mówię raz ostatni,
„Dajcie pokój mi nareszcie!“
„A to wpadłem ja do matni!
„Więc to prawda, wszystkie wieście.
„Co biegają już w około?“
Woła Jurek z groźbą w oku,
Gniewnie marszcząc nizkie czoło.
„Że kochacie, tego z boku
„Uradnika, kogoż jeszcze?“
Drżący Jurek wciąż wykrzyka,
W oczach blaski ma złowieszcze. —
„Całe o tem mówi sioło.
„Lecz przysięgam, że już temu,
„Będzie wcale niewesoło,
„Kto was Hanko, mnie biednemu
„W drodze mego życia skradnie!
„Lepiejby mu ponoć było,
„Gdyby w stawie spoczął na dnie,
„By mu słońce nie świeciło!
„Hanko! Hanko! jakże będzie?
Woła Jurek. Hankę śledzi,
Pyta wzrokiem jak w obłędzie,

Lecz nie było odpowiedzi. —
Hanka smutna, zamyślona,
Już odeszła drżąca cała. —
Długo się, wśród drzew czerwona
Jej spodnica migotała,
I koszula w złotem słońcu,
Lub ciemniała w sadów cieniu,
Aż jak mara znikła w końcu. —
Długo Jurek stał w milczeniu
Dzikiém za nią goniąc okiem. —
W tem do niego Kaśka duża
Cichym się zbliżyła krokiem.
„Hanka czarem cię odurza!“
Krzyknie Kaśka mu nad uchem,
„Taż to znanej wiedźmy córa,
„I z nieczystym zna się duchem,
„Na nią czeka Łysa góra!
Jurek błędny wzrok zatoczy,
I rozgląda się na strony,
Wreszcie plunął Kaśce w oczy,
I poleciał jak szalony.

VIII.

Gęste w niebie ciągną chmury,
Po nad wioską wciąż się garną,
Jak z ołowiu lane góry,
A w powietrzu duszno, parno!
Jurek siedzi, czyści noże,
Przy piekarni zamyślony. —
„Ale czegoż to, mój Boże!
„Tak dziś krzyczą te gawrony?
„O czem one tak wciąż gwarzą,
„Wśród tej parnej, głuchej ciszy?
Mówi Jurek z smutną twarzą. —
„Posłuchajmy!“ I cóż słyszy?
Że te wszystkie tam gawrony
Przemawiają dziś do niego,
I tak kraczą w różne tony:
„Głupi chłopiec z Jurka tego!
„Dziewką głowę swą zadurza,
„Ciągle wzdycha do tej Hanki,
„A z niej znana wiedźma duża,
„Jej świtają w głowie panki. —
„Głupi Jurek, ach jak głupi:
„Taż to pani, ta dziewczyna,

„Jeśli zechce, to dziś kupi,
„Jurków sobie z półtuzina,
„A on ciągle ma nadzieję,
„Bo go poi jakimś durem!“ —
Tu się jeden gawron śmieje,
Inne mu wtórują chórem. —
„A nie kocha go ni troszka;
„Pragnie mieć go swoim sługą,
„Ot by lepiej szedł do Moszka,
„Wypił czarkę jedną, drugą,
„Toby cała czarów siła,
„I żal, że wziął dziś odkosza,
„Serce Jurka opuściła!“
„Ba! lecz nie mam ani grosza!“
Do gawronów Jurek rzecze:
„Moszko nic mi darmo nie da!“
A gawrony: „Oj człowiecze!
„Jeśli w tem twa cała bieda,
„To weź nożów tych choć parę,
„Nieś do Moszka po objedzie,
„A on da ci taką czarę,
„Że zapomnisz o twej biedzie. —
„Pociesz siebie tą nadzieją,
„Że te noże Moszko kupi!“

Tu gawrony znów się śmieją,
Powtarzając: głupi! głupi!

IX.

Gęste w niebie ciągną chmury,
Po nad wioską wciąż się garną
Jak z ołowiu lane góry,
A w powietrzu duszno, parno. —
Parno i w karczemce Moszka,
Ledwo widać coś o zmroku,
Mała lampka błyszczy troszka
I oświeca szynkwas z boku,
Za nim rudą Moszka brodę,
Na podłodze trochę sieczki,
A pod ścianą dużą kłodę,
Na niej leżą z wódką beczki.—
Wreszcie stół i ciemne ławy,
Poorane w różne pręgi,
Przez włościańskie tu zabawy,
Wygładzone przez siermięgi. —
Dalej lichtarz do szabasek,
Pod nim, wypisany kredą,

Cały szereg drobnych lasek, —
To rachunek napół z biedą,
Moszka z chłopskiem zapomnieniem,
Dalej różne kwarty z miedzi. —
Tuż, zakryty napół cieniem,
Zamyślony Moszko siedzi. —
W szynku niema wcale ludzi,
Jeden Jurek stoi blady. —
„Panie Moszku, coś mię nudzi,
„Tak, że sobie niedam rady!“
„Ny, a hrosze masz przy sobie?“
Rzekł żyd gładząc się po głowie.
„Niemam Moszku, mówię tobie!“
„To niech nudzi!“ żyd odpowie,
I odwrócił się plecami,
Jakby skończył z Jurkiem mowę. —
„Ja chcę o czemś mówić z wami!“
Rzecze Jurek chyląc głowę.
I tu szepnął coś żydowi,
A choć szept był głuchy, krótki,
Żyd wnet chętnie dał Jurkowi,
Pełną kwartę mocnej wódki,
I pił Jurek. Cóż dziwnego,
Że pił chłop ten na pół zwierze,

Ten prostaczek, dla którego,
W wódce tylko wiecznie świeże,
Źródło szczęścia i pociechy,
Promyk słońca, wśród ciemności,
Jego biednej chłopskiej strzechy.
Pił, by nie czuć swej nicości,
Wziąć na chwilkę rozbrat z ciałem,
I wejść w szczęścia rajskie bramy. —
I my także życiem całém,
Tak się samo upijamy:
Nasze bale, karty, stroje,
Arlekinów różne blaszki
I o marne rzeczy boje,
Próżne, dzikie nasze fraszki,
Linoskoków budy spięte,
I kuglarze i ogródki, —
Czyż to wszystko razem wzięte,
Nie są różnych smaków wódki?
Co nam piękna ideały,
Zasłaniają jak obłędy, —
Dzisiaj pije świat już cały,
Różnych wódek pełno wszędy.
Więc i Jurek pił, niestety!
Pił do samej prawie nocy,

Aż się dopił do tej mety,
Że się poczuł w dziwnej mocy,
I w niezwykłej wesołości.
Choć na nogach chwiał się troszka,
Wyszedł prędko na ciemności,
Pożegnawszy karczmę Moszka,
Na noc śpiesząc się do dworu. —
Grzmot gdzieś huczał w dali głuchy
Błyskotało z ponad boru,
A w powietrzu nocne duchy,
Rozwinąwszy czarne skrzydła,
W kształcie starców, niewiast, dzieci
Przelatują te straszydła. —
Żółty ogień z ócz im świeci,
Ciągle kręcą się przy Jurku,
Ale on wciąż kroczy śmiało!
Wtem, o dziwo! tam na wzgórku,
Widzi Hanki postać białą. —
Z nieba strzela błyskawica,
Strojąc w odblask ją zielony,
I oświeca śliczne lica,
Złoty warkocz rozpuszczony. —
Stoi piękna i szczęśliwa,
I do siebie wzywa Jurka. —

Ten jak wiatr się do niej zrywa,
Chyżo pędzi do pagórka,
Już jest na nim, chwyta Hankę,
Lecz ta znika z rąk mu prawie,
I wybiega na polankę. —
Jak ptak biały mknie po trawie,
Wabiąc Jurka wciąż do siebie,
Jasném okiem, białą dłonią. —
A grom błyska w czarném niebie,
I ćmy duchów Jurka gonią,
Pohukując śmiechu gwarem. —
Jurek pędzi w nocnej toni,
Uniesiony, jakby czarem,
I wciąż śliczną Hankę goni. —
A ta, zda się, że swawoli,
To tuż przynim, to znów wdali,
Niby widmo złotej doli,
W napowietrznej płynie fali. —
Nieujęta wciąż ulata,
Tocząc z biednym Jurkiem tany,
Choć na świecie, nie ze świata
Jak ułudny czar Morgany,
Wreszcie schwytał ją w ramiona.
Co za szczęście, o mój Boże!

Lecz mu znowu znikła ona,
A on upadł w zimne łoże,
Niby z lodu, tracąc siły,
Pamięć Hanki, nawet życie,
Jakby wstąpił do mogiły.

. . . .

Gdy się ocknął już o świcie,
Cur i pek,*) taż to uroki,
Gdzież on jest, na jakim świecie?
Przed nim błyszczy staw szeroki,
A on leży w oczerecie,
Pogrążony w błocie prawie. —
A tuż, żaby dwie zielone,
Patrzą w niego tak ciekawie,
Jakby chciały pytać one,
Z kąd się człowiek wziął w ich kole. —
Jurek spluwa, przypomina:
Moszka, Hankę, jej swawole.
„O przeklętaż to dziewczyna!“
Co z nią robić już i nie wie, —
Trawę, błoto, ściera z lica,

*) Złośliwe starosłowiańskie bóztwa.

Ciągle szepcząc w dzikim gniewie:
„Czarownica! czarownica!

X.

Hen na trakcie od Chmielnika,
Pędzi powóz w cztery konie. —
Ziemia pod nim zda się znika,
Przelatuje lasy, błonie. —
A w powozie człowiek młody,
Ciemnych włosów, bladej twarzy,
Pełen siły i urody,
Patrzy w dal i niby marzy. —
Jak wzorzysty dywan w kwiaty,
Kraj się przed nim ściele w koło,
W różnobarwne cięty kraty:
Tu czernieje w dymach sioło,
Tam w dal płyną żyzne pola,
W złote, białe, kraśne pasy,
Lub czernieje świeża rola,
Hen sinieją w dali lasy,
I bieleją chatek ścianki. —
A przy drodze głogu krzaki,
Jak bielutki śnieg rumianki,

A nad rowem znów bodiaki. —
Na nich pająk w blasku słońca,
Wiesza złote swe koronki,
A w niebiosach wciąż, bez końca,
Dzwonią piosnkę swą skowronki.
Widać, widać już Moszczany.
Hen, na lasów tych krawędzi,
Świecą cerkwi i chat ściany.
Coraz bliżej, coraz bliżej,
Widać wierzby kołowrotów,
A na prawo, trochę niżej,
Z po za chat i wiejskich płotów,
Niby srebrna tafla duża,
Staw szeroki w słońcu świeci. —
Powóz pędzi niby burza,
W kołowrocie mija dzieci,
I rozpędza gęsi zgraję,
Krzyczą gęsi, krzyczą dzieci,
Dziewka w progu patrzeć staje,
Powóz już przez sioło leci,
Wreszcie zmienia kolej toru,
W topolowej tej ulicy,
I zawrócił wprost do dworu. --
Panicz przybył z zagranicy.

XI.

Piękny, letni dzień czerwcowy,
Przez lewadę wykoszoną,
Do poblizkiej tuż dąbrowy
Idzie wiejskich dziewcząt grono. —
Na ich czele piękna Hanka,
Jak królowa tej gromadki,
Z nią Praxeda i Ulanka,
Jej pokrewne i sąsiadki,
I, już znana nam, Oksana,
Wygadana, tłusta dworka. —
Wszystkie wstały dzisiaj z rana,
Każda wzięła coś do worka:
Kęs słoniny, chleb razowy,
Palanicę, trochę ryby,
I apetyt młody, zdrowy,
I ruszyły w las po grzyby,
Z łubianemi kobiałkami.
W swych zapaskach w kraśne kratki,
I koszulach z połykami,
Strojne w smółki i bławatki,
Szły jak polne kwiaty żywe,
Ukraińskiej bujnej ziemi. —

Wkrótce przeszły złotą niwę,
I zaszumiał las przed niemi,
Wonny, czarny las Ukrajny. —
Znane puszcze Białowieży,
Grunt ich w drzewa urodzajny,
Znane, pełne dzikich zwierzy,
Ciemne, smutne Litwy bory, —
Lecz któż z ukraińskim lasem,
Chciał się poznać do tej pory?
Szkoda jednak, — bo tymczasem,
Niknie on już z tego świata,
Pod toporem złej chciwości. —
I nie przejdą długie lata,
Jak już będą z ciekawości,
Pytać o te piękne lasy,
Jak o dziwne jakieś wieści,
Co w bajeczne płyną czasy.
Lub zostaną jak wspomnienie,
Bardzo smutnej dla nas treści,
Lub jak złudne stepów cienie
U poety w opowieści. —
Jednak jeszcze do tej pory
Czarnych lasów są zastępy,
Lecz te nie są Litwy bory,

Lub Mazowsza lasów strzępy. —
To rozlicznych drzew ogrody,
Przetykane w różne krzewy,
Pełne woni i ochłody,
Gdzie wciąż dzwonią ptasząt śpiewy.
Lub angielskich parków knieje,
W ukraińskim blasku słońca,
Gdzie się wdziękiem wszystko śmieje,
I weseli się bez końca.
Tu dąb czarny się zieleni,
Sypiąc w koło żołędziami,
I do zmroków swoich cieni
Korzeniami i liściami,
Na posuchę wilgoć zbiera,
Wijąc wieńce na wawrzyny,
A niebierze go siekiera. —
Pnie się dumnie do wyżyny,
Okrywając konarami,
Skromny, cichy krzak leszczyny,
Ze słodkiemi orzechami. —
A na dębie wśród gęstwiny,
Świecą niby turkusami,
Ukraińskich drzew papugi,
Modropióre nasze kraski. —

A tu brzoza w białe smugi,
I w omszone czarne paski,
Stoi smutna załzawiona,
I ku ziemi się nagina,
Niby matka rozżalona,
Co straciła biedna syna. —
Na niej dzięcioł, rodzaj mruka,
W gwarnej rzeszy leśnych ptaków,
Niby doktor biega, puka,
Chcąc w niej dojrzeć życia znaków.
I ciekawie głową rusza.
Wyciągając grubą szyję,
Bada, zda się, czy jest dusza,
I czy serce jeszcze bije!
Dalej sosna, gość z północy,
Pniem z koralu strzela w niebo,
Prosta, gładka, pełna mocy,
Z ukraińską w zgodzie glebą,
W smolne szyszki ustrojona,
Ciągle szumi swą koroną,
Wiecznie świeżą i zieloną,
Wciąż gromadzi w swoje łono,
Słońca, ziemi całe ciepło,
Jak zimowe swe zapasy,

By niem ogrzać smolę skrzepłą,
Gdy śnieg spadnie na te lasy, —
By zielenić się bez końca
I stać prosto na kształt świécy,
Znów się kąpać w blasku słońca,
I rozwiewać woń żywicy,
W tych gościnnych dla niej lasach. —
Na niej kruki zamyślone,
O minionych dawnych czasach,
Zaćmiewają jej koronę,
Niby smutne życia widze,
Pod nią gniazdo robią mrówki,
A z pod suchych szpilek rydze,
Wychylają kraśne główki. —
Dalej lipy pełne chłodu,
Na nich żółte wilgi, kosy,
Upojone wonią miodu,
Gwiżdżą, dzwonią w różne głosy. —
Niżej z dziupła w starej lipie,
Świeci sowy głowa duża,
Żółte, krągłe szerzy ślipie,
I olśniona, znów przymróża. —
Niby mądral pychą śmiały,
Gotów uczyć świat bez końca,

Póki ciemnym jest świat cały,
Lecz wnet ślepnie w blasku słońca.
Dalej olchy, graby, klony,
I srebrzystych topol wianki,
Szepczą, szumią w ciche tony.
Tu zarośla, tam polanki,
Dziwne jakieś gwary wszędy:
Tu dąb liściem coś szeleszcze,
Niby starzec swe gawędy,
A tam sosna jakieś wieszcze
Z szumem wiatru niesie słowa. —
Klon łopocze, drży osika,
A co drzewo inna mowa,
Płynie z wiatrem i zanika. —
I to wszystko w blasku słońca,
Zwierze, ptaki, różne drzewa,
Świeci, dzwoni, brzmi bez końca,
Wieczną piosnkę życia śpiewa.

XII.

W taki las to umęczone,
Południowym lata skwarem

Weszły dziewki pod osłonę
Drzew cienistych, z młodym gwarem. —
Leśnym chłodem orzeźwione,
Miały ruszyć w głąb dąbrowy, —
Wtem rzuciły się na stronę,
Odwróciły żywo głowy:
Tuż przed niemi zając szary,
Przeskoczywszy rów szeroki,
Niby jaki figlarz stary,
Siadł na tylne swoje skoki,
Podniósł prosto krótką szyję,
Nasrożywszy się uszkami,
I łapkami pyszczek myje. —
Dziewki straszą go krzykami,
On w nie wlepia żółte oczy,
Niby gardzi ich groźbami,
Wreszcie w gęste krzaki skoczy.
„Oj niedobra to oznaka,“
Przemówiła wnet Oksana,
„Że spotkałyśmy szaraka.
„Już myślałam o tem zrana,
„Czy nam będą dobre wróżby!“
„Będą dobre!“ mówi Hanka,
„Ot zobaczysz, przyjdą drużby,

„Od twojego może Janka.“
„At, dziś niemam na to czasu,“
Odpowiada jej Oksana,
„U nas pełen dwór hałasu,
„Mamy już młodego pana!“
„No cóż?“ mówi jej Ulanka
„Czy ten młody panicz ładny?
„Czy dwór kontent z tego panka?“
„Piękny, zgrabny i układny,
„Przytem złote ma serduszko!“
Gładką mową dworka toczy:
„Do mnie, mówi, moja duszko,
„I ma śliczne, czarne oczy!“
Tu przerywa jej Praxeda:
„Niestrzęp język tak dla niego,
„Z paniczami tylko bieda,
„Cóż nam chłopkom z Laszka tego?
„Pan nie weźmie cię na żonę!“
„Wszystko bywa dziś na świecie,
„A pamiętasz ty Motronę?
„Za majora wyszła przecie,
„Taka z nich dziś piękna para,
„Motra pije już herbatę,
„Prawie codzień z samowara,

„I jedwabną nosi szatę.
„Teraz inne wcale czasy!“
I tak gwarząc szły dziewoje,
Przez rodzinne gaje, lasy
Wciąż rzucając w króbki swoje,
Grzyby, babki, syrojeżki,
Uznojone mając czoła. —
Wkrótce wyszły znów na ścieżki,
Co prowadzą do ich sioła. —
Wtem posłyszą tętent konia,
Oglądają się ciekawie:
Młody panicz tuż przez błonia,
Prosto na nich pędzi prawie.
Dziewki ścichły, schodzą bokiem,
Na wąziutką wiejską drożkę,
Ale wciąż zerkają okiem,
Chcąc panicza widzieć troszkę.
Słyszą koń już zwalnia kroku,
Idzie stępo chociaż krewki,
Wreszcie jeździec przy ich boku.
„Jak się macie piękne dziewki!“
Głośno panicz z konia woła:
„Czyż niestrach wam, dziewki hoże,
„Tak daleko być od sioła?“

„A cóż z nami stać się może?“
Odpowiada mu Ulanka,
Czarném okiem patrząc zdradnie,
Na młodego swego panka. —
„Ale, jeśli ktoś napadnie,
„I was wycałuje szczerze?“
Pyta młody z półuśmiechem:
„Mnie samego już chęć bierze,
„Poznajomić się z tym grzechem!“
„My nie damy się wam, panie!“
Odpowiada znów Ulanka:
„Na to siły u nas stanie,
„Choć biegałyśmy od ranka!“
„Więc odwaga w was nielada.
„Sprobujemy ją rozprawą. —“
I to mówiąc z konia zsiada,
I do dziewcząt bieży żwawo. —
Dziewki w krzyk i całém kołem,
Pierzchły w wielkiej niby trwodze,
Jedna Hanka, z dumném czołem,
Pozostała na swej drodze,
Nieruszając się i krokiem,
I w pięknego pana oczy,
Poglądała smutnym wzrokiem. —

Wtem i do niej panicz skoczy. —
Hanka zbladła niby chusta.
Panicz się zrumienił cały.
Coś szepnęły jego usta,
I ich oczy się spotkały. —
Teraz Hanka się rumieni,
A blednieje twarz młodego. —
I tu wśród wieczornych cieni,
Dusza jej i dusza jego,
Tak w miłości się złączyły,
W takie wplotły się łańcuchy,
Że już żadne ziemskie siły,
Nie rozłączą bratnie duchy,
I łańcuchów tych nie skruszą. —
Bo zaprawdę miłość szczera,
Tylko tak owłada duszą,
I na świat ten, tak spoziera.
Sam Bóg miłość chciał mieć taką. —
Mędrkowanie ją zgubiło,
I zrobiło dziś nijaką. —
I co miało stać się siłą,
I potęgą niezwalczoną
Tak dla ciała, jak dla duszy, —
To zatruwa nam dziś łono,

Rozum, wolę naszą kruszy. —
Miłość dzisiaj, z duszą pawia,
Daje gorzkie li kołacze!
Ktoś pomyśli, — ot rozprawia, —
Nie rozprawiam, ale płaczę,
Jak nad własnej duszy raną,
Bo zaprawdę, mówiąc szczerze,
W miłość mądrą, opytaną.
Ach przebaczcie, że niewierzę!

XII.

Tam gdzie kończą się Moszczany,
Jar zapada się głęboki,
W rowy, bruzdy poorany,
Przez wiosennych wód potoki. —
Na dnie jaru strumień wody,
Po przegniłych zielsk równinie,
Przez drzew różnych stare kłody,
Niby senny, cicho płynie,
Ginąc w kępach oczeretu,
Co szeleści w smutne tony. —
Jar od dołu, aż do grzbietu,
Prawie cały zacieniony,

Przez rozliczne krzaki, drzewa:
Olchy, wierzby, stare brzozy —
Słońce prawie nie ogrzewa,
Ten jar dziki, pełen grozy. —
W tego jaru ciemnej głębi,
Jak grzyb, stara stoi chata,
Widok jej osmuca, ziębi:
Z chaty brudny dym ulata
I okrywa ją jak krepą,
To codzienna jej sukienka. —
Chata zdaje się być ślepą.
Takie małe w niej okienka. —
Pochyłona, wrosła w ziemię,
Miała czarne, krzywe ściany, —
Niby starzec, co wciąż drzemie,
Póki skończy wiek styrany. —
Dwie izdebki były w chacie,
Przedzielone dużą sienią, —
W niej przeróżnych roślin nacie,
Niby snopy się zielenią. —
W izbach przeciągnięte sznury,
Na nich zioła niby miotły,
A na półkach, hen u góry.
Dziwne garnki, rądle kotły. —

Na przypiecku, czarny, duży,
Kot wyciąga się na szmacie,
Żółte ślipie to przymróży,
To rozgląda się po chacie.
Czarny kogut zaś na dole,
W cieniu krzywej, starej ławki
Ostrym dziobem, chciwie kole,
Od kartofli białe skrawki. —
A za stołem, pochylona,
Siedzi stara Jaremycha, —
Gospodynią tutaj ona.
Siedzi stara i wciąż prycha,
Opędzając z brody muchy. —
Siwe kudły jej warkoczy,
Ocieniają profil suchy,
I pół dzikie, czarne oczy. —
A jej sine, wpadłe wargi,
Zkąd wybiega ząb spróchniały,
Jakieś groźby, jakieś skargi,
Niby we śnie wciąż szeptały. —
Siedzi stara Jaremycha,
Marszcząc żółte, stare lica,
I coś waży, liczy, wzdycha,
Znana z Moszczan czarownica. —

Wtem podniosła stara głowę:
Drgnęła chaty cienka ścianka.
Zaskrzypiały drzwi dębowe.
I do izby weszła Hanka. —
„Jak się macie stara ciotko!“
Przemówiło dziewczę zcicha,
„Witam, witam ciebie kotko!“
Odpowiada Jaremycha. —
„Lecz cóż ciebie, moja złota,
„Zapędziło w te wertepy?
„Oj zapewne nie ochota,
„To, dopatrzy nawet ślepy. —
„Ależ siadaj, siadaj, dziecie,
„Możeś ty niezdrowa, kotko?
„Ja poradzić mogę przecie!“
Hanka na to: „Ach tak, ciotko!
„Bardzo mi się bije serce,
„Wciąż się czegoś niby boję,
„Wszystkie myśli mam w rozterce. —
„Ach te myśli! niby roje
„Ós zjadliwych, kłują skronie. —
„Choć mam zimne nogi, ręce,
„W piersiach ogień niby płonie. —
„Ciągle jestem jak na męce:

„Jeść nie mogę, spać nie mogę,
„Chodzę niby odurzona,
„W chacie własnej gubię drogę. —
„A tam w głębi mego łona,
„Słyszę ciągle jęki głuche,
„Tu się śmieję, tu łzy leję,
„Płoną ogniem oczy suche. —
„Ach straciłam już nadzieję,
„Że wyżyję w tej rozpaczy,
„Choć nie żyłam bardzo wiele. —
„Ciotko! ciotko! co to znaczy?
„Daj mi na to jakieś ziele!“
„Cicho, cicho, drogie dziecie!“
Jaremycha jej odpowie:
„Jest na wszystko rada przecie,
„Wiem, co w sercu twém i głowie. —
„Nie oddawaj się rozpaczy,
„I do płaczu nie bądź skora. —
„Ja ci powiem, co to znaczy:
„Oto przyszła na cię pora,
„Byś kochała, moja kotko,
„Nie ma tu choroby wcale!“
„Snać, że tak, kochana ciotko,
„I ztąd widać łzy i żale!“

Hanka starej odpowiada,
Cała drżąca, jak osika. —
„Ale jest że na to rada?“
Stara wzrokiem ją przenika
I w te do niej mówi słowa:
„Mam ja w chacie jedną trawę,
„Co się w lasach gęstych chowa,
„Ona każdą czarta sprawę,
„Łzy i żale przezwycięża. —
„Z niej lekarstwo ja ci zrobię,
„Ale przedtem trzeba męża,
„Co najprędzej znaleźć tobie!“
Tu twarz Hanki, trochę blada,
W kwiat rumieni się jabłoni. —
Jaremycha dalej gada:
„Ten cię wyrwie z smutków toni,
„Wycałuje usta twoje,
„I te piękne oczy duże,
„I warkoczów złote zwoje. —
„A tymczasem ja powróżę,
„I dowiemy się wszystkiego!“
„Wróżcie ciotko, wróżcie miła,
„Tylko wróżcie coś dobrego!“
Hanka cicho przemówiła. —

„Dobrze kotko!“ I z butelki,
Stara w szklankę wodę wlała. —
„Teraz,“ mówi: „dwie kropelki,
„Daj mi krwi z twojego ciała,
„Z twego palca serdecznego!“
Hanka śmiało igłę bierze,
I wnet z palca jej małego,
Rubinowe, ciepłe, świeże,
Dwie kropelki krwi upada,
W jasną, czystą wodę szklanki. —
Hanka stoi cicha, blada,
Stara bada oczy Hanki,
Później patrząc się na wodę,
Przemówiła temi słowy:
„Widzę dwa sokoły młode,
„Oba czarne mają głowy,
„I o białą gołębicę,
„Bój się między nimi toczy,
„Jak by palił kto gromnicę,
„Takie straszne mają oczy. —
„Ach już jeden z nich upada,
„Lejąc krew z młodego łona!“
„Który?“ pyta Hanka blada.
Ale stara zamyślona,

Milcząc patrzy ciągle w wodę,
I Tak mówi, jak szalona:
„Zgasło jedne życie młode,
„Lecz i drugie oto kona,
„I zapada gdzieś w ciemności...
„Gołębica sama jedna,
„Bez pociechy i miłości,
„Krwawe łzy wylewa biedna!
„Ale tfu! cóż to za dziwa?
„Gołębica, znów we słońcu,
„Lata piękna i szczęśliwa!
„Wszystko dobrze więc na końcu!“
Mówi rada Jaremycha. —
Jak po ciężkiej zmorze Hanka,
Całą piersią już oddycha!
Stara poszła do kaganka,
I zatliła go na stole,
Bo już zmroki padły w chacie.
„Przejdą!“ mówi: „Hanko bole,
„A gdy dość odwagi macie,
„Moja ty płaksiwa kotko,
„To pokażę ci twojego!“
„Ja się boję droga ciotko!
„Może to coś tak strasznego,

„Że wnet umrę tu ze strachu?“
„O nie straszna rzecz to wcale:
„Widzisz tam, ten otwór w dachu,
„Pod nim ogień w duch rozpalę,
„Na nim zagotuję w kotle,
„Czarodziejską pewną trawę,
„Sama siądę na tej miotle,
„Ty zaś wejdziesz na tę ławę,
„I stać będziesz jak z kamienia. —
„A gdy pójdzie z kotła para,
„W pośród dymów od płomienia
„Stanie droga twoja mara!
„Lecz gdy będziesz w szatach stała,
„Pryśnie czarów wszelka siła, —
„Musisz być tu naga cała,
„Tak jak matka cię zrodziła,
„I oddychać ziół tych parą.“ —
Dziewczę skromnie się rumieni,
I trwożliwie patrzy w starą,
Co jak widmo nocnych cieni,
Siedzi straszne w kącie chaty. —
„No sprobuję, trudna rada,
„Skoro tak każecie maty!“
Hanka w strachu odpowiada:

„A nikogoż niema w domu?
„Bo widzicie droga ciotko,
„Ja się spalę tu od sromu!“
„Ducha nie ma, moja kotko!“
Stara wzięła wnet kociołek,
I na bitej w chacie ziemi,
Niby na trzech nogach stołek,
Postawiła i suchemi
Podsypała go trzaskami. —
Potem wlała w kocioł wodę,
Napełniła go ziołami,
Wysunęła starą kłodę,
Siadła na niej pochylona,
I podpala suche trzaski. —
Z siwych włosów jej korona,
Już w srebrzyste świeci blaski. —
Wtem rzuciła wzrok na dziewcze,
Bo już pryska w ogniach kora.
„Ty ubrana stoisz jeszcze?
„Pora już, ach wielka pora,
„Być gotową, moja kotko!“
Choć dziewczyna wpół ubrana.
Hanka woła: „wstyd mi ciotko!“
Wciąż się tuli pomięszana,

Kryjąc dłonią nagość łona.
„Głupie wszystkie sromy wasze!“
Woła stara oburzona:
„Jeśli nie chcesz ogień zgaszę?“
Biedne dziewcze przerażone,
Błędnie patrzy, zruca w końcu,
I ostatnią swą osłonę. —
I stanęła niby w słońcu,
Oświecona ognia blaskiem. —
A dym, para z kotła bucha,
Skry złociste lecą z trzaskiem,
Dziewcze stoi jak bez ducha,
Niby posąg koralowy,
Jasny posąg wstydliwości. —
Z jedną myślą serca, głowy,
Ujrzeć w ogni tych jasności,
Ukochaną serca marę,
Która duch jej w mękę wplotła. —
Ale widzi tylko starę,
Co wciąż rzuca coś do kotła,
Patrząc w niego okiem dzikiem. —
Naraz Hanka blednie cała,
Z trwożnym rzuca się okrzykiem. —
Jaremycha zczerwieniała,

To znów się zrobiła blada,
W skok zerwała się z siedzenia. —
Hanka patrzy, mdleje, pada:
Przed nią nakształt snu marzenia,
Wśród obłoków ognia, pary,
Widmo się panicza niesie,
W całym blasku lubej mary,
Jakim go widziała w lesie!

XIV.

O miłości duszo świata!
Słońce, na tej biednej ziemi!
Myśl ku tobie wciąż ulata,
To zapały młodzieńczemi,
To westchnieniem cichém starca. —
Kto zaś przeciw tobie staje,
Ten nieszczęsny, lub potwarca,
Co utracił duszy raje. —
Ten za życia już przeklęty,
Jak umarły w pośród ludzi. —
O miłości ogniu święty!
Głos twój wszystko w koło budzi,

Tyś stworzyła wszechświat cały
I poruszasz serca w łonie,
Budzisz czyny pełne chwały,
I laurami stroisz skronie, —
Aleś ty, jak księga święta,
Każdy z ciebie bierze swoje:
Jeden wolność, drugi pęta,
Ten świat zbawia, ów rozboje
Szerzy w pośród bliźnich koła,
Pod promiennym twym sztandarem!
Zrozpaczony świat dziś woła,
Żeś ty była bóstwém starém,
Póki dzieckiem był świat cały,
I o byt nie ginął w walce,
Lecz rozbito cię w kawały,
I o tobie, jak o łalce,
Nikt nie myśli dzisiaj przecie!
A ty jesteś, jak Bóg w niebie,
Wciąż potężna we wszech świecie.—
Lecz, że nie pojęto ciebie,
Więc się mścisz, o niebios pani!
Nad synami biednej ziemi. —
Gniew twój serca, dusze rani,
Dziś strzałami zatrutemi!

Niegdyś kochające żony,
Miały męże z twojej dłoni,
Kraj zaś cały, cne matrony,
Z wiecznym laurem cnót na skroni.
Dla nich wiłaś złote wianki, —
Dziś nam rzucasz w srogim gniewie:
Egoistki, kurtyzanki,
Niby w słomę iskr zarzewie. —
I te mszcząc się dziś nad nami,
Za zniewagę dziewic, matek,
Wabią ludzi obłędami,
Wysuszają sił ostatek. —
Dusze męzkie lepsze, wieszcze,
Srogi cierpią ból niestety, —
Lecz biedniejsze od nich jeszcze,
Są z pewnością dziś kobiety. —
Młody Orsak żył w tym świecie,
Co to wielkim zowią światem,
Żył jak mędrzec i jak dziecie. —
Orlim duchem swym skrzydlatym,
Objął życia treść wiekową,
Laur mu wieńczył młode czoło,
I stał wyżej całą głową,
Po nad zwykłych ludzi koło.

Lecz prostotą i szczerością,
Był jak dziecię chrystusowe.
Więc nie bawił się miłością,
Jak się bawią dzieci owe,
Których lalka póty nęci,
Aż zbadają jej budowę,
I nie rzucą w niepamięci,
By wnet łamać cacko nowe. —
Miłość dlań świętością była,
A kapłanką jej niewiasta. —
Czuł, że w niej jest owa siła,
Co żywiołów moc przerasta,
I co całą ludzkość może
Rzucić w przepaść wiecznej nocy,
Lub wprowadzić w progi boże,
I z piekielnych wyrwać mocy. —
Czcił kobiety więc bez względu,
W jakim bądź by były stanie,
Nie na słowach, nie z urzędu,
Jak się czci w salonach panie,
Lecz miał dla nich czucie tkliwe,
Jak dla matek, sióstr, aniołów,
Co szły przez życiową niwę,
W pośród ziemskich łez padołów,

By pokrzepiać w boju męże. —
Wziął więc serce u gołębi,
Lecz miał rozum, jako węże,
I obawiał się jastrzębi,
Co w niewieście strojne szaty,
Mknęły przed nim złotą zgrają,
Niby zdradne owe kwiaty,
Co zapachem śmierć zadają. —
Znał on ich szychową cnotę,
Cenił zaś jedynie szczerze:
Prawdę, piękno i prostotę,
I był mocny w swojej wierze.
Przy tem pełen był skromności,
A wiadomo dobrze przecie,
Że dziś człowiek bez próżności,
Niema czego żyć na świecie. —
Rzucił prędko więc salony,
I nie mądre ich zagadki,
I w rodzinne wrócił strony,
Do swej Rusi i do matki,
By znów zdala od pałacy,
Pod wonnego siana stogiem,
Spocząć po nużącej pracy
Z książką, myślą i swym Bogiem. —

Ale dziwnie los się plecie; —
Nikt nie zgadnie swojej doli,
Bo inaczej nawet dziecie,
Zaniechało by swawoli. —
Któż by wierzył, że ten młody,
Mądry panicz, biało-licy,
Pełen wdzięku i urody,
Znany z nauk i w stolicy,
Ten arystokrata wreszcie,
Na którego polowały,
Takie śliczne panny w mieście, —
Zmieni swój obyczaj cały,
I wróciwszy w swoje strony,
Gdy w las wejdzie na polankę,
Będzie chłopką zachwycony,
I pokocha prostą Hankę!
A jednakże tak się stało; —
„Fi donc! krzykną piękne panie;
„Romans z chłopką! — to za śmiało,
„Nawet po tym Mopasanie,
„I po bajkach tego Zoli. —
„Romans z prostą, dziką chłopką,
„To zanadto już swawoli. —
„Te miłostki gdzieś pod szopką,

„To już całkiem nie do rzeczy!
„Sąż kobiety w wyższym stanie?“
Są i zacne, nikt nie przeczy. —
Lecz, przepraszam moje panie,
Waszą przecie to jest winą,
Że ten piękny lew salonu,
Prostą zajął się dziewczyną,
I z pańskiego zeszedł tronu,
Do wieśniaczej skromnej chaty. —
Bądźcie mniej, jak dziś sztucznemi,
I próżności zrzućcie szaty,
Bądźcie więcej prawdziwémi,
Miejcie zresztą więcej serca,
A zaręczam was, z pewnością,
Młody Moszczan spadkobierca,
Wróci do was z swą miłością. —
Zawsze macie wdzięków tyle,
Powab wasz nie stracił siły,
Z wami słodko płyną chwile,
Lecz, romanse was zgubiły! —

XV.

Cicha, letnia noc na świecie,
Niebo gwiazd się iskrzy lamą,
Słowik lubej coś tam plecie,
Lecz wciąż jedno i toż samo.
„Kocham!“ śpiewa jedno słowo,
Lecz w tem słowie świat się mieści,
I mistrz słowa swą wymową,
Nie wypowie jego treści. —
„Kocham!“ i drżą młode dłonie,
„Kocham!“ szepcze duch niewieści,
I pałają ogniem skronie,
Oddech w piersiach się nie mieści. —
Niebo, ziemia i gwiazd roje,
Drżą pod ręką Stworzyciela,
I wstrzymują ruchy swoje,
Nócąc cichą pieśń wesela.

. . . .

Cicha, letnia noc nad ziemią,
Słowik ciągle tkliwie śpiewa,
Stare dęby lasu drzemią. —
Na zwalonej kłodzie drzewa,

Siedzi Orsak, przy nim Hanka.
Czule splotły się ich dłonie,
Dziewcze niby świtezianka,
Wieniec lilij ma na skroni,
Siedzi, jasna piękna, cicha,
I w panicza czarne oczy,
Patrząc z lękiem, czasem wzdycha.
On zaś, zwoje jej warkoczy,
Gładząc dłonią, temi słowy,
Do dziewczęcia się odzywa:
„Zkąd ci przyszło dziś do głowy,
„Pytać mię, czy jeszcze żywa,
„Owa chwila w mej pamięci,
„Gdy spotkałem cię pod lasem
„Z dziewczętami w sianożęci? —
„Hanko droga! sądzę czasem,
„Żem pokochał wtedy ciebie!
„Pomnisz, w młodej mej swawoli,
„Gdym cię ujrzał koło siebie,
„Wycałować cię dowoli,
„Było celem pustej głowy. —
„Ale śliczne twe wejrzenie,
„Miało wyraz tak surowy,
„A tak luby, — że milczenie,

„Niby anioł zleciał z nieba,
„Nastąpiło między nami, —
„I chwil kilka było trzeba,
„By się zebrać nam z myślami,
„I serc naszych wstrzymać bicie.
„Ach już wtedy sercem całém,
„Nie na żarty, lecz na życie,
„Ciebie Hanko pokochałem,
„Jak rajskiego mego ptaszka!
„Ale powiedz mi, dla czego
„Ty tak kochasz swego laszka?“
Hanka tuląc się do niego,
Cicho mówi, niby śpiewa:
„Pytasz za co kocham ciebie?
„Pytaj kwiaty, pytaj drzewa,
„Czemu póki słońce w niebie,
„One się ku niemu chylą!
„Czemu wszystko doń się garnie?
„A bez niego, z każdą chwilą,
„Niknie, więdnie, ginie marnie?
„Pytaj, czemu ogień wzlata,
„A po ziemi się nie ściele?
„O mój złoty! mój aniele!
„Ty mi jesteś wpośród świata,

„Mojem niebem, ciepłem słońcem,
„Na tym chłopskim mym padole,
„Niby niebios jasnym gońcem!
„O mój luby! mój sokole!
„Gdym cię pierwszy raz ujrzała,
„W blasku pańskiej twej urody,
„Z gniewu prawie drżałam cała,
„Sądząc, że ty jako młody,
„Pyszny panicz z lachów rodu,
„Z prostą dziewką zechcesz sobie,
„Robić żarty bez zachodu. —
„I dziś luby, powiem tobie,
„Gdybyś wówczas, w swej swawoli,
„Pocałował mię zdradziecko,
„Niby szydząc z mojej doli,
„Zapłakałabym jak dziecko,
„Które srodze pokrzywdzono,
„Wtedy wierz mi, nie miłością,
„Biłoby twej Hanki łono,
„Lecz pogardą, chłopską złością,
„Nienawiścią bez litości.
„Bo choć jestem nierozumną,
„Prostą chłopką z twojej włości,
„Jak twe panie jestem dumną,

„I dumniejszą może jeszcze. —
„Bo choć jestem tu przy tobie,
„I sokoła mego pieszczę,
„To kłopotu ci nie zrobię,
„I nie żądam nic od ciebie,
„Prócz miłości, — a co potem,
„Niech to złoży Bóg na niebie,
„Dziś nie myślę nawet o tem.
„Szczęściem byłeś w owej porze,
„Miłościwym mój sokole,
„I tak dobrym, o mój Boże,
„Że rzuciłeś wnet swawolę,
„I stanąłeś cicho, skromnie,
„Jak przed panią gdzieś wspaniałą,
„I tak tkliwie rzekłeś do mnie,
„Żeś mi zabrał duszę całą.
„Pokochałam cię tak szczerze,
„Że dziś nie całunki moje,
„Lecz ci cześć swą dam w ofierze,
„Krew ma, ciało, wszystko twoje,
„Nic dziś we mnie niema mego!
„O mój luby! drogi Panie!
„Tylko szczęścia pragnę twego,
„Jeśli Hankę na to stanie,

„Że ci szczęście dać wydoła!“
Kończy Hanka, chyląc skronie.
I zbliżyły się ich czoła,
I drży łono, tuż przy łonie. —
Młody ujął piękne dziewcze,
Szepcząc z cicha: „śliczna, droga!
„Ach pocałujże mię jeszcze,
„Nikt nie widzi nas prócz Boga!“
I całunki pełne dreszczu,
Lecą długie, wypieszczone,
Niby ciepłe krople deszczu,
Co spadają, na spragnione,
Poorane w bruzdy pole. —
A wciąż słowik cicho śpiewa,
W gęstych krzakach bzów na dole,
I milczące stoją drzewa.

. . . .

Ale cóż to świeci z krzaków?
Może wilczych oczów para?
Świętojańskich blask robaków?
Czy gdzieś gnije kłoda stara?
I co zbiega tam z pagórka?
Pochylone, dziwne, szare,

Coś wygląda to na Jurka,
Lub z błót leśnych ciepłą parę. —
Ale bać się niema czego:
Poplątane światła, cienie,
Często kształtu są dziwnego, —
To złudzenie! to złudzenie!

XVI.

Oj nie dobrze coś we dworze:
Panicz czegoś zamyślony,
Pani szepcząc: Boże! Boże!
Wciąż przebiega swe salony,
Ciągle radzi się Grabosi,
Snać, że kłopot ma niemały,
A Jurasia, sługi prosi,
By pokoje przeglądały,
I trzymały je w czystości.
Sama jakieś listy pisze,
Niby czeka licznych gości,
Co moszczańską przerwą ciszę
I nalecą w dworskie ściany.—
Lecz nie wszystko szło jej z płatka:

Jurek ciągle czegoś pjany,
Jak by zdziczał do ostatka,
Ze sługami wszczynał kłótnie,
I nic nie chciał robić prawie,
A tak wszystkim stawał butnie,
Że sam panicz, co łaskawie
Zawsze mówił z tym chłopakiem,
Ni do stroju, ni do łoju,
W gniewie nazwał go pijakiem,
I wypędził precz z pokoju. —
Reszta sług zaś albo starzy,
Lub do dworu wzięci świeżo.
Jeden z drugim ciągle gwarzy,
Dużo jedzą, więcej leżą. —
Więc też pani Orsaczyna,
Ma kłopotu dziś po uszy. —
Snać stanowczo coś poczyna,
Z jakimś cichym smutkiem w duszy. —
Panicz w domu siedzi rzadko,
Ciągle w lesie, lub w ogrodzie,
Bardzo mało mówi z matką,
Wraca zwykle po zachodzie,
Czasem nawet późną nocą. —
Co się robi zaś we dworze,

Jak nie widzi, i z pomocą
Swojej matce, ile może,
Nie pospiesza, jak bywało
Przed nie wielu jeszcze laty. —
A rozrywką jego całą,
Było patrzeć w okna chaty,
Co naprzeciw dworu stała,
W nową chatę Hrehorego. —
Jakby jego dusza cała,
Była tam gdzie Hanka jego.
Myśli czuciem nastrojone,
Jako magnes ku północy,
Zawracały się w jej stronę,
Nabierając coraz mocy,
I wzniosłości ideału.
Dziś badając głąb swej duszy,
Sam się dziwił niepomału,
Zkąd w tej wiejskiej, dzikiej głuszy,
Mogła powstać Hanka taka,
I w tej chłopskiej poniewierce,
Na rajskiego urość ptaka. —
I mieć taką duszę, serce,
By mu sprostać w ducha sile,
A potęgą li miłości,

Dać mu takie szczęścia chwile.
Że on z chwałą swej mądrości,
Wychowany w wielkim świecie,
Był przy skromnej tej dziewczynie,
Niby wiejskie ciche dziecie,
Widząc świat swój w niej jedynie.
Snać, że rozum, choć i wyżej,
Zuchwałemi skrzydły wzlata,
Serce, zawsze prawdy bliżej,
I jest słońcem tego świata.
Orsak kochał śliczną Hankę,
Ale staczał z sobą walkę:
Zbyt ją cenił, by kochankę,
Z niej swą zrobić, albo lalkę,
Którą można rzucić będzie. —.
Zbyt szlachetne miał zasady,
I rycerskim był w tym względzie,
By w miłości dojść do zdrady. —
Serce czuciem wytężone,
Wciąż szeptało mu do ucha,
By wziąść Hankę za swą żonę,
I zakończyć walkę ducha.
Co świat jego na to powie,
Pyszne pany, piękne panie,

Niepostało mu to w głowie,
Lecz znał matki swojej zdanie,
I serdeczne jej zamiary,
By ożenić go bogato,
Jak chciał tego zwyczaj stary.
Wiedział, że wciąż tylko na to,
Każdą z nim zwracała mowę. —
A całując wśród pieszczoty,
Jedynaka swego głowę,
Wciąż szeptała: „O mój złoty!
„Pociesz serce twojej matki,
„Nie męcz bardzo młodą głowę,
„Porzuć mądrych ksiąg zagadki,
„A daj prędzej mi synowę.
„Pora ci się żenić, pora!
„Tyś ostatni z twego rodu,
„Jam nie młoda, często chora.
„A kto żeni się za młodu,
„Nie żałuje tego wcale!“
Młody słuchał matki mowę.
Rady jej i ciche żale,
I pochylał przed nią głowę,
I całował drogie ręce,
Lecz by ją nie martwić srodze,

Choć był cały, jak na męce,
Mówił jednak wciąż niebodze,
Że nic przeciw temu niema,
Że zapozna się z pannami. —
Matka czule wnet obiema,
Obejmując go rękami,
Jak by li tych słów czekała,
Przemówiła pełna szczęścia:
„Okolica nasza cała,
„Ma moc panien do zamęzcia,
„Tylko wybierz którą sobie.
„A te panny mówiąc szczerze,
„Dawno wiedzą już o tobie. —
„Wiadomości o tem świeże,
„Mam od starej mej Grabosi. —
„Oto w przeszłą tę niedzielę,
„Stara mię o konie prosi,
„Mówiąc, że chce być w kościele,
„Że pojedzie do spowiedzi. —
„A tam, mówi, ją dokoła,
„Otoczyli wnet sąsiedzi,
„I sąsiadki Moszczan sioła:
„Kryńscy, Młyńscy i Łowicze,
„Ciotki, matki z ich córkami.

„Przy nich młodzi też panicze, —
„I nuż pytać się ją sami,
„O nowiny z Moszczan sioła.
„A przeróżne były spytki,
„Ciekawego tego koła:
„Jak wyglądasz, czyś nie brzydki?
„Czego siedzisz, jak w pustelni,
„Z matką starą w Moszczan dworze?
„Widzisz więc, że ci niedzielni
„Pobożnisie, są na torze
„Zdobyć ciebie choćby siłą. —
„Lecz ja czuwam przy twym boku,
„I chcę, by tak się złożyło,
„Abyś ty nie robiąc kroku,
„Najpiękniejsze poznał kwiaty,
„Najbogatszych dziewic koło.
„A wnet znajdą się i swaty,
„I Bóg da, że znów wesoło,
„Będzie w starym Moszczan dworze. —
„Właśnie moje imieniny,
„Przypadają o tej porze. —
„Rozesłałam zaprosiny,
„Na dziesiąty, na niedzielę. —
„Wszyscy zjadą się z pewnością,

„Tu na obiad po kościele!
„Cóż ty na to?“ Z nieśmiałością
Zapytuje matka syna.
„Dobrze matko, dobrze droga!“
„Bo to,“ matka znów poczyna:
„Najłatwiejsza będzie droga,
„Do poznania swych sąsiadów. —
„Wszystko sobie to szaraki,
„I nie mądrych mieli dziadów,
„Choć herbowe mają znaki. —
„Najbogatsi z nich Łowicze,
„Doszli mienia przez czumaczkę,
„Mają wioskę Zakotycze,
„I ładniutką jedynaczkę. —
„Wszystko poznasz to, mój złoty. —
„Ale ty coś zamyślony,
„Jakby brakło ci ochoty,
„Do szukania sobie żony?“
„Ach nie, droga moja matko,
„Będę bardzo rad z tych gości,
„Dziś tak ludzi widzę rzadko,
„Że już z samej ciekawości,
„Będę witał wszystkich szczerze!“
Matka więcej nie pytała,

I odeszła w mocnej wierze,
Że dom jej okryje chwała, —
Że Bóg modłów jej wysłucha. —
Młody został zamyślony,
A choć północ była głucha,
Długo w różne chodził strony,
Po obszernym swym pokoju. —
W myślach smutek miał głęboki,
Duszę, serce jak w rozstroju.
Dziwnie brzmiały jego kroki
W tej spóźnionej nocnej porze,
Niby ciężki chód Miecznika,
Który błądził w starym dworze,
Z cichym jękiem pokutnika.

XVII.

Zkąd przelotne różne ptaki,
W niezmierzonej niebios toni,
Znają swe powietrzne szlaki,
Gdy je zima od nas goni?
I jak gołąb, wywieziony,
W oddalone, obce kraje,

Wraca prosto w swoje strony
I w rodzinném gniazdku staje?
Jak dwa serca kochające,
Niby ptaki w jasném niebie.
Gdy zostaną się w rozłące,
Znajdą drogę widzieć siebie?
Wszystko życia to zagadki. —
Orsak z myślą o dziewczynie,
Wyszedł z dworu, Hanka z chatki,
I spotkali się w dębinie,
Co się łączy z dworskim sadem,
Sercem tylko prowadzeni. —
On szedł za nią prawie śladem,
I tu wśród wieczornych cieni,
Kochankowie znów przy sobie. —
Hanka cała we łzach tonie,
A on woła: „mówię tobie,
„Niepłacz dziecko, podnieś skronie,
„Choć mię żenić pragnie matka,
„Z jakąś panną, ze szlachcianką,
„Nie porzucę mego kwiatka,
„Wiernym ci zostanę, Hanko,
„Ciebie tylko chcę mieć żoną,
„Moje szczęście ty jedyne!“

I tu głowę jej na łono.
Swoje złożył, jak dziecinę,
I całując zwój warkoczy,
Tkliwie szeptał jej do ucha:
„Podnieś, podnieś jasne oczy!“
Hanka, rąbkiem od fartucha
Łzy otarła i w miłego,
Topiąc łzawych ócz wejrzenie,
Przemówiła tak do niego:
„O mój luby! jak te cienie,
„Okrywają ziemię w mroki,
„Tak mię czegoś strach przygniata,
„Niby czarny kir szeroki,
„Jakbym prędko z tego świata,
„Miała zstąpić do mogiły. —
„W sercu dziwne czuję bole,
„Płaczę we śnie, tracę siły,
W strasznych przeczuć błądzę kole.
„Ciągle niby jestem chorą!
„Ach te panny! O mój drogi!
„Czuję, że mi cię zabiorą,
„I nie puszczą w pańskie progi,
„Takiej biednej, jak ja chłopki,
„Co z włościańskiej wyszła chaty,

„I wiązała niegdyś snopki. —
„O, sokole mój skrzydlaty!
„Czy rozumiesz moje żale?
„Czarną Hanki twojej dolę?
„Pokochałam cię zuchwale,
„Niby równa ci sokole. —
„Jednak zawsze, zawsze jeszcze,
„Gdybyś widział serce moje,
„Choć ci ufam, choć cię pieszczę,
„Ja się dotąd ciebie boję,
„Jak się boi chłopka pana!“ —
Młody dziewczę wziął w objęcia,
I rzekł czule: „O, kochana!
„Widać niemasz i pojęcia,
„Jak cię kocham, moje dziecie,
„I niepatrzysz w serce moje. —
„Inne we mnie teraz życie,
„Ja się także ciebie boję,
„Jak obrazu cudownego!
„Jam znów dzieckiem jak przed laty. —
„Porzuciłem pana swego,
„Jak próżności marne szaty,
„I dziś chłopem jestem tylko,
„Jak jest chłopką moja Hanka. —

„Więc się nie martw zwątpień chwilką,
„Niebój się twojego Janka!
„Da Bóg, zjednam serce matki,
„Przecie syn jej dla niej drogi,
„Przyjdę po cię do twej chatki,
„I zawiodę w moje progi,
„Ścieląc drogę twą kwiatami,
„Jak ma miłość serdecznemi. —
„Potrafimy być kmieciami,
„Tej rodzinnej naszej ziemi
„I panami w pośród świata!“
„O mój drogi, mój jedyny!“
Hanka woła: „myśl ma wzlata,
„Za twą mową w te krainy,
„Gdzie unosisz moją duszę,
„Czy w świat szczęścia, czy niedoli,
„Wszędzie iść za tobą muszę. —
„Niemam już dziś własnej woli
„Skoro słodki głos twój słyszę. —
„Dawniej w duszy mej i ciele,
„Uroczystą miałam ciszę,
„Pełną woni, jak w kościele,
„Kiedy msza się skończy cała,
„I lud wyjdzie ze świątyni. —

„Dawniej, jak dziecina mała,
„Dobywałam z mojej skrzyni,
„Do zabawy złote sznurki,
„I rozliczne cacka małe. —
„Całowałam moje kurki,
„I cielątko moje białe. —
„Bawił mię najmniejszy kwiatek,
„I dziecinna każda fraszka:
„Trawka polna, zbóż bławatek,
„Świegot wróbli, śpiewy ptaszka,
„A przyroda zda się cała,
„Czy to w polu, czy w dąbrowie,
„Ciągle ze mną rozmawiała,
„W zrozumiałej dla mnie mowie,
„W dziwne tony, pełne czaru. —
„A choć w duszy miałam ciszę, —
„W koło było pełno gwaru. —
„Dziś te gwary w duszy słyszę,
„A do koła spokój błogi,
„Jak by świat był w mojem łonie.
„O mój miły, mój ty drogi!
„Dziś w mej duszy niebios tonie,
„Z jasném słonkiem na błękicie,
„Dziś w mej duszy szumią drzewa,

„I przyrody gwarzy życie:
„Wieje wietrzyk, słowik śpiewa,
„Złoty motyl drży nad różą,
„I to jasno w mojém niebie,
„To pochmurno jak przed burzą, —
„A w tem wszystkiem, widzę ciebie.
„O, nie rzucaj że mię luby!
„Tyś wniósł w duszę moją światy,
„Możesz zbawić, lub do zguby,
„Wyprowadzić mię z mej chaty!
„Cóż bez ciebie ze mną będzie?
„Co zostanie mi, mój miły?
„Cisza w duszy, cisza wszędzie,
„Cisza śmierci i mogiły!“ —
I tu Hanka głowę chyli,
Na kochanka silne ramię. —
Ale w tejże słyszą chwili,
Niby ktoś gałązkę łamie. —
Więc słuchają popłoszeni. —
Lecz obawa ta ich marna:
Wpośród gęstych, leśnych cieni,
Przebiegł zając, albo sarna,
Lub ptak złamał gałęź suchą,
Wśród konarów poplątanych,

I tem przerwał ciszę głuchą
I przestraszył zakochanych.

XVIII.

Oj nie ptak to obudzony,
Nie płochliwej sarny kroki,
Nie wilk nawet wbiegł ze strony,
W ten zaciszny las głęboki. —
Lecz straszniejsze od nich zwierze,
Pełne jadu i srogości,
Opuściło swoje leże,
I przemyka się w ciemności. —
Z gorzką w ustach złości pianą,
Jak zwierz dziki zatajony,
Z wargą do krwi pokąsaną,
Czarny Jurek tuż ze strony,
Zakochanych czułą mowę,
Słyszał całą, leżąc w trawie. —
Jak gadzina czarną głowę,
Pełznąc cicho, zbliżył prawie
Do kochanków o dwa kroki,
Ciekawością pożerany.

A choć cierpiał ból głęboki,
Jakby miał na sercu rany,
Chciwie chwytał każde słowo,
Zakochanej młodej pary. —
Z bolu bił o ziemię głową,
Strasznej zemsty snuł zamiary,
Tłumiąc w piersiach wściekłe ryki. —
Klął wraz z Hanką Lachów plemie,
I by spędzić gniew swój dziki,
Kruszył chwasty i gryzł ziemię.
Każdy dźwięk kochanków mowy,
Jak z ołowiu jasny wrzątek,
Piekł mu serce i mózg głowy,
I w najskrytszy duszy kątek,
Piekielników lał katusze,
Codzień śledził młodą parę,
A choć srodze męczył duszę,
Chciwie spijał tortur czarę,
Jak by serce swoje chore,
Chciał hartować piekieł męką,
By, gdy znajdzie zemsty porę,
Mógł cios zadać wprawną ręką. —
„Poczekajcie miłe ptaszki!“
Szeptał Jurek wśród ciemności,

„Ty gadzino z duszą Laszki,
„I ty panie. — Dwie już świeczki
„Na ofiarę diabłu spalę,
„By wam sprawić piękne gody. —
„Nie przeszkadzam dziś wam wcale.
„Młoda panno, panie młody,
„Więc kochajcie się gorąco,
„Bo niewiele macie czasu,
„Diabli prędko was roztrącą!“
Z temi słowy wyszedł z lasu. —
Wtem tuż z boku na pagórku,
Jurek spotkał się z dziewczyną. —
„Czy to wy jesteście Jurku?“
„A któż inny?.. Oj, Katryno!,
„Taż to tobie właśnie dzięki,
„Wiem gdzie chodzą zakochani,
„Wysłuchałem ich piosenki,
„I panicza i tej pani. —
„Oj, Katryno! oj, diablico!
„Na coś ty mi w swojej złości,
„Powiedziała nad krynicą,
„O ich schadzkach i miłości?
„Co ja teraz z sobą zrobię?
„Żyję w strasznej poniewierce,

„W świecie duszno mi jak w grobie.
„Niby żmija ssie mi serce. —
„Wszystko wiedźmo to przez ciebie!
„Czegoż chcesz więc dziś od Jurka?
„Żeby przebił nożem siebie,
„Lub wyszukał sobie sznurka?“
„Głupcze, głupcze!“ Kaśka woła:
„Oszalałeś z tą dziewczyną,
„Zabij wiedźmę tego sioła,
„Zabij Hankę! Jej to wina,
„Że ty cierpisz, ja łzy leję. —
„Ona danie *) ci zadała,
„Struła wszystkie me nadzieje,
„Sama zaś jest dzisiaj cała
„Na usługi tego Laszka. —
„Nie daremnie z Jaremychą
„Radzi się o swego ptaszka. —
„Struj ją, zabij, — w niej to licho
„I nieszczęście nasze całe!“
Kaśka mówi to i płacze. —
„Cicho! czyś ty dziecko małe?“
Woła Jurek. „Dziś kołacze

---

*) Czary.

„Gorzkie dla nich mam w zapasie!
„A tymczasem chodźmy troszka,
„Rozweselić się w złym czasie,
„Ruszaj ze mną dziś do Moszka!“
„Nie, niepójdę!“ Kaśka woła. —
„Chodź-że!“ krzyczy Jur do dziewki,
Z groźbą w oku, z marsem czoła.
„Ze mną słuchaj nie przelewki!“
„Ja ztąd krokiem się nie ruszę!“
Mówi Kaśka. — Jurek w złości,
Krzyczy: „Ja cię tu zaduszę,
„Lub, połamię wszystkie kości,
„Chodź, bo taka moja wola!“
I przemogła Jurka siła. —
„Biednaż, gorzka moja dola!“
Duża Kaśka przemówiła,
I powlekła się za Jurkiem
Do karczemki przez czahary. —
Znikli wkrótce za pagórkiem,
Niby nocne jakieś mary. —

XIX.

Smutno w chacie Hrehorego:
Słabo świeci lampka mała,
W blasku światła jej żółtego,
Prawie w zmrokach izba cała. —
Wasylina siedzi cicha,
„Boże zmiłuj się nad nami!“
Ciągle szepcze i wciąż wzdycha. —
A tam bliżej pod półkami,
Siedzi w bieli Hanka blada,
Pochyliła smutnie głowę,
Łza za łzą z jej oczów pada,
Na wzorzyste i różowe
Jej fartucha szyte kwiaty,
Niby srebrnych pereł rosa. —
A za stołem w kącie chaty,
Siadł Hrehory i z ukosa
Patrząc w Hankę mówi z cicha:
„Tak, tak, moja biedna doczko!
„Narobiłaś ojcu licha!
„Chcesz mi zostać ową kwoczką,
„Co wysiedzi nie kurczęta,
„Jak rodzona twoja maty,

„Ale Laszków i diablęta,
„Przyprowadzisz do tej chaty,
„I srom wniesiesz w moje progi!“
Hanka we łzach odpowiada:
„Batku miły! batku drogi!
„Biada głowie mej, ach biada!
„Ale niema dla mnie rady,
„Ja go kochać nie przestanę. —
„Niech się cieszą złe sąsiady,
„Oszczerstwami jątrząc ranę,
„Już i tak zbolałej duszy. —
„Niech mię świat potępi cały,
„Nic mej wiary weń niewzruszy. —
„Ja go kocham nie dla chwały,
„Nie z pragnienia lepszej doli,
„O, nie ojcze drogi, miły,
„Lecz ulegam boskiej woli!
„Co mię czeka? czy mogiły
„Zimne, twarde, ciemne łoże,
„Z plugawemi szaty sromu,
„Czy raj ziemski, o, mój Boże!
„Nie poskarżę się nikomu,
„Nikt nie uciekł od swej doli. —
„Ale ojcze, ty drżysz cały,

„O mą cześć, i to mię boli,
„Ale cześć ma bez zakały,
„Chociaż, ojcze, bij twe dziecię,
„Ladaszczyca ze mnie cała,
„Nie ja bronię czci mej przecie,
„Cześć tę marną jabym dała,
„Najmilszemu już oddawna,
„Gdyby sokół mój chciał tego,
„Jam grzesznica niepoprawna,
„Lecz w tem dobroć, miłość jego,
„Że on czci mej więcej broni,
„Niż się sama bronię jeszcze. —
„A gdy skronią przy mej skroni,
„On poczuje serca dreszcze,
„Wnet mię rzuca bez litości,
„Chociaż we łzach cała tonę. —
„Bo on w zacnej swej miłości,
„Chce mię tylko mieć jak żonę!“
„I ty wierzysz? ach warjatko!“
Cały w gniewie Hrehor woła:
„O przewrotny! jakże gładko,
„Ściera srom z twojego czoła,
„By mieć z ciebie ladaszczycę.
„O, przekleństwo na mą głowę. —

„On pokochał twoje lice,
„Twoje ciało świeże, zdrowe,
„A żeniaczką tylko mami,
„Aby uśpić twoje strachy.
„Wszyscy bawić się z chłopkami.
„Bardzo rade zwykle Lachy,
„Lecz dalecy od żeniaczki. —
„A ty Lachom wierzysz jeszcze,
„Wierzysz w drzewo, z tych korzeni,
„Co próżnością li szeleszcze. —
„Toż ten Orsak z wielkich panów,
„Czyż on z tobą, biedną chłopką,
„Wychowaną wśród baranów,
„Urodzoną gdzieś pod szopką,
„Zechce się ożenić kiedy?
„Mając swoje śliczne panie?
„Dobraś i ty dlań od biedy,
„Na swawolne li kochanie,
„Nie na żonę. — Hanko droga!
„Dziecię moje, tyś w obłędzie,
„Miejże w sercu przecie Boga,
„Pomyśl, co też zemną będzie.
„Gdy powrócisz tu zwalana?“
„Ojcze! ojcze! Hanka woła,

Upadając na kolana.
„Hańbić nie chcę twego czoła,
„Ale zabij twoje dziecię,
„Bo już nic mi nie pomoże,
„Nie odmienię się już przecie,
„Więc mię zabij, lub w komorze,
„Zamknij córkę jak w więzieniu,
„Lub pożałuj twoje dziecko!“
Długo Hrehor stał w milczeniu,
Wreszcie otarł łzę zdradziecką,
Co przez lice pomarszczone,
Na srebrzysty wąs upadła. —
Smutnie spójrzał w Hanki stronę,
Twarz mu dziwnie jakoś zbladła,
Nakształt starej, zmiętej szmaty,
Wreszcie wyszedł zamyślony,
I na przyźbie usiadł chaty.
A przez drogę z drugiej strony,
Dwór oknami świecił stary
Jak ognistych ócz szeregiem. —
Hrehor wzrok swój smutny, szary,
Wodził z okien jasnych biegiem,
Patrzał w dworskie białe ściany,
W czerniejące długie dachy,

Mrucząc groźnie:. „Och te pany!
„Och, te Lachy! zawsze Lachy!“
Gdy w głębokiej studni na dnie,
Stanie kto wśród dnia białego,
Ujrzy gwiazdy tak dokładnie,
Na tle nieba błękitnego,
Jak je widzi o północy. —
Dzień się zmienia w nocy cienie, —
Trzeba myśli całej mocy,
By odpędzić to złudzenie. —
Chłop gdy patrzy z okien chaty,
Na życiowych prądów biegi,
Na spiętrzone nad nim światy,
Towarzyskich warstw szeregi,
Jest jak w studni pogrążony.
I ztąd widzi takie dziwa,
A w zjawiskach takie strony
Nam nieznane wciąż odkrywa,
Że się pytać czasem godzi,
Kto zostaje tu w obłędzie?
Czy chłop, co jak w studni chodzi,
Czy ten, co z rozumem wszędzie,
Z wielkim nosząc się hałasem,
Nie jest li próżności gońcem,

Co tak kroczy dumnie czasem,
Jak olśniony własném słońcem.
Bo, zaprawdę, któż w prostocie,
Jak Bóg daje, życie bierze?
Kto w swych błędach, jak i cnocie,
Staje zawsze jasno, szczerze?
Kto się śmierci nie obawia?
I ma wiarę jako dziecię?
Kto nie chodzi w piórach pawia? —
Tylko mędrzec i chłop przecie!
I ten ojciec, ten Hrehory,
W swoim dzikim na dwór gniewie,
Czy wyplatał jako chory,
O czem dobrze i sam nie wie,
Czy przeczucia miał złowieszcze,
W swojej ciemnej duszy na dnie, —
To rzecz skryta dotąd jeszcze,
Której, pewno, nikt nie zgadnie. —

XX.

Dziś w moszczańskim dworze gala:
Jasnej Pani Imieniny. —

Płynie gości gwarna fala.
Z różnych traktów od godziny,
Podjeżdżają wciąż pod ganki:
Bryczki, kocze i karety,
Spieszą pany i półpanki. —
W kuchni robią snać kotlety,
Bo nóż głośno wciąż stukocze,
Pod kucharza wprawną dłonią.
Sine dymu mkną warkocze
I moździerze raźnie dzwonią.
U wrót dworskie parobczaki,
Poglądając na pojazdy,
Dają sobie śmiechu znaki
Liczą w herbach gałki, gwiazdy.
Dalej chłopi pod oborą,
Poszczerbioną w różne blizny,
Szepczą z cicha: zkąd się biorą
Te karety bez pańszczyzny. —
A we dworze już salony,
Oświetlone pająkami. —
W długiej sali, z każdej strony,
Ściany całe portretami
Antenatów zawieszone.
Z płócien czarnych od starości,

Tu, zaledwie, wypatrzone.
Dojrzysz oko jegomości,
Tam znów tylko już buława,
W czarném polu pozostała,
Lub też gwiazda Stanisława,
Choć już znikła postać cała.
Dalej krezę na atłasie,
Od kobiecej widać głowy,
Tam brzuch tłusty w słuckim pasie,
Lub też pierścień brylantowy.
Ale żadnej tu postaci,
Niedopatrzysz się w całości,
Nieodtworzysz panów braci,
Dzielnych władców licznych włości. —
Tak jak trudno twarz dziejową
Tej przeszłości z jej pamiątek,
Wskrzesić żywą, dać jej słowo,
Z bibulastych książek stosów,
Lub z namiętnych sądów treści.
Zginął klucz nam przeszłych losów,
Tak, że często się nie mieści,
Czyn olbrzymi w małe ramy. —
Księgi, zbiory są w mnogości,
Ciało dziejów zda się mamy,

Lecz brak duszy, brak całości,
Jak w portretach tych Orsaków,
Co dziś w gwarnej wiszą sali,
Pełnej czarnych mężczyzn fraków
I dam strojnych w wielkiej gali. —
Między niemi berło trzyma,
Piękna Zosia Łowiczanka. —
W lustro strzela wciąż oczyma,
Czarnowłosa jak cyganka,
Sama sobą zachwycona. —
Coś wśród panien wciąż szczebiocze,
Najweselsza z dziewic grona,
Poprawiając swe warkocze,
Na Orsaka strzela wzrokiem. —
W kole mężczyzn młody Franek,
Z rodu Kryńskich, z bladém okiem,
Ciągle chwali paryżanek
I z Orsakiem coś rozprawia.
Otoczony paniczami,
Napuszony nakształt pawia,
Francuzkiemi frazesami,
Do Orsaka głośno woła:
„Nie, vraiment, ja ci nie wierzę,
„Mon cher Jean, że lubisz kraje

„Ukrainy. Powiedz szczerze,
„Co nam dzisiaj ona daje?
„I jak żyć nam tu z chłopami,
„Zdziczałymi w swej wolności?
„Ja wciąż bijąc się z myślami,
„Dziś przyszedłem do pewności,
„Iż nam nic nie pozostało,
„Jak zebrawszy się do kupy,
„Sprzedać w pień fortunę całą,
„Ruszyć wprost do Gwadelupy*),
„I tam żyć, jak nam przystoi!“
Orsak myślą był zdumiony,
I chciał przeczyć, lecz z podwoi,
Jurek, pysznie ustrojony,
Wezwał gości do wieczerzy. —
Rumor zrobił się na sali,
Każdy do swej damy bieży,
I tłum cały nakształt fali,
Wnet poruszył się parami. —
Niby wstęga barwnych kwiatów,
Przetykana wzdłuż frakami,
Przed obliczem antenatów,
Przeszło gości świetne koło,
Pełne woni, szychu, blasku,

*) Historyczne.

Do jadalni, gdzie wesoło,
Wśród wazonów. niby w lasku,
Zastawiono już wieczerzę. —
Jasne wszystkich gości twarze,
Każda para miejsce bierze,
Z Łowiczanką Orsak w parze. —
W tłumnym gości tych orszaku,
Tak się wzięła Łowiczanka,
Że usiadła przy Orsaku. —
W chęci zająć swego panka.
Wciąż o balu mu mówiła,
Co dał Książe w przeszły wtorek,
Że Księżniczka, bardzo miła,
Że i u nich był wieczorek,
Gdzie go wszyscy wyglądali. —
Snuła słówka jak nić z motka,
Usteczkami jak z korali,
Szczebiotała, jak świegotka. —
Lecz kobieta ma to czucie,
Że chłód serca wnet odgadnie,
Widzi w jednym oka rzucie,
Co jest w myśli, w duszy na dnie. —
Więc umilkła rozgniewana,
Na sąsiada patrzy dumnie,

Nie chcąc pytać tego pana,
Czego milczy nierozumnie. —
Orsak pełen był grzeczności,
Lecz to mało dla kobiety,
Co pragnęłaby miłości.
Której nie mógł dać niestety!
Więc milczeli zamyśleni. —
A przed niemi, wprost, czerniały
Okna pełne nocnych cieni. —
W tem się Orsak ruszył cały,
Jak ptak, postrzelony niby,
Zadziwiony wzrok potoczy,
Patrząc w ciemne okien szyby. —
W jednej widzi Hanki oczy,
Jak, śmierć bladą Hanki postać,
Zapatrzoną w niego smutnie. —
Iść nie sposób, a pozostać,
Gdy tam ona, to okrutnie!
Pomięszany więc i blady,
Patrzy trwożnie w Łowiczankę. —
Ta domyślna, pełna zdrady,
Dopatrzywszy także Hankę,
Przemówiła doń z uśmiechem:
„Jakaś dziewka, pokryjomu

„Patrzy na nas, będzie grzechem,
„Nie poprosić jej do domu,
„To prześliczne wiejskie dziecię,
„Kraśne ma na głowie kwiatki,
„Panie Orsak, znasz ją przecie,
„Czy nie z garderoby matki?“
Orsak był w gorącej wannie,
Krew kipiątkiem w twarz mu bieży,
Chciał się ostro odciąć pannie,
Szczęściem wstali od wieczerzy.
Korzystając ze swobody,
Orsak wyrwał się od gości,
Do ogrodu, by ochłody
Znaleźć trochę wśród ciemności
Rozsochatych lip alei. —
Z myślą li o swojej Hance,
Pełen słodkiej tej nadziei,
Że odszuka ją w altance. —
Staje w niej i trwożnie słucha.
Słyszy jęk, — ach tak, to ona,
Leży zimna i bez ducha,
Jak umarła, lub zemdlona. —
„Hanko! Hanko! drogie dziecie!“
Woła tuląc ją w ramiona,

„Co ci Hanko? moje życie?“
Hanka w końcu, jak zbudzona,
Przestraszona niby ptaszę,
Tuląc się do jego łona:
„Ach ja ciebie zawsze straszę!“
Mówi wreszcie do Orsaka:
„Chciałam widzieć twoje panie,
„Nierozumna ze mnie taka. —
„Mam też za to ukaranie, —
„Uciekając, takiem w czoło,
„Uderzyła się boleśnie,
„Że mi ściemniał świat w około,
„I upadłam jakby we śnie. —
„Ale ty mię kochasz drogi,
„Nie tę czarną, pannę dużą,
„Co ma wyraz taki srogi,
„Choć bawiła się wciąż różą!“
„Nie gołąbko, ty jedynie,
„Napełniałaś moją duszę,
„Choć przy obcej mi dziewczynie,
„Tam siedziałem, bo tak muszę,
„Przez wzgląd na mą biedną matkę!“
„O dziękuję ci mój drogi!“
Mówi dziewcze. „Dziś mą chatkę

„Opuściłam, i w twe progi,
„Biegłam w trwodze nocną porą,
„Sądząc, że mi na skaranie,
„Ciebie, nocy tej odbiorą,
„Te tam straszne piękne panie!
„Lecz się teraz ich nie boję?“
Tu zamilkli. A tam w dali,
W jasnych oknach gości roje,
Mknęły, niby cienie w sali,
I dwór jaśniał światłem w koło.
Kochankowie zaś wśród ciszy,
Rozmawiali wciąż wesoło. —
A choć nikt tu ich nie słyszy,
O czém z sobą tak szeptali,
Tam we dworze, Łowiczanka,
Plotkę rzuca już na sali,
I na ustach wszystkich Hanka!

XXI.

Życie ludzkie niby morze:
To zapada w nudną ciszę,
Tak że równe jego łoże,
Do snu nawet nie kołysze. —

Wtedy, niby statku żagle,
Myśli, szmaty bezwładnemi,
Opadają wszystkie nagle,
Jak dym ścieląc się po ziemi. —
Szczęście, radość, czy niedola,
Nie obchodzi już świat cały,
Jakby znikła wszelka wola,
Tylko nudy pozostały,
Zabijając i nadzieję. —
To znów wiatr pomyślny wzlata,
Tłumem pragnień w żagle wieje,
I znów życie wre wśród świata, —
Póki burza z bożej ręki,
Pieśń wesela w życia statku
Nie zamieni w łzy i jęki,
Niszcząc wszystko na ostatku.
W gwarnym świeżo Moszczan dworze,
Dzisiaj smutek, — pani chora,
I gdy zeszły ranne zorze,
Wnet posłano po doktora. —
Panicz zaś coś smutny, blady,
Jakiś lęk na dwór padł cały,
Wszędy szepty i narady,
Jakieś głuche przelatały,

W dworze cicho, niby w grobie. —
A Oksana tłusta dworka,
Sług zebrała w garderobie,
Sypie słówka niby z worka,
Powiadając, co się stało:
„Mówię wam, że po wieczorze,
„Kiedy goście, zgrają całą
„Odjechali, ja w tej porze,
„Układałam do komody,
„Serwet stosy i podkładki. —
„Widzę, weszedł panicz młody
„Do komnaty swojej matki. —
„Ja zaś byłam pod drzwiami,
I słyszałam ich rozmowę.
„Gdy zostali z sobą sami,
„On przed panią schylił głowę,
„I tu, tak mi pomóż Boże,
„Że wam prawdę mówię przecie,
„Rzekł, że dalej żyć nie może
„Bez swej Hanki już na świecie!“
„No, powiedzcie! białolica,
„Ta przeklęta Kandybianka,
„Chyba całkiem czarownica,
„Że tak nam zdurzyła panka!

„Słyszę, płacze pani nasza,
„I coś mówi biedna z cicha,
„Panicz ciągle ją uprasza,
„Ona jęczy, ciężko wzdycha,
„On całuje ją w kolana,
„I wciąż błaga o swą Hankę. —
„Aż mię wzięła złość na pana,
„Że pokochał tę chłopiankę,
„Jakby coś tam niezwykłego. —
„W końcu ścichli: on i ona.
„Widać było ze wszystkiego,
„Że już pani rozczulona,
„Wysłuchała próśb panicza. —
„W krótce też on wyszedł żwawo,
„Radość biła mu z oblicza, —
„Ja umknęłam trochę w prawo,
„Że mię nie mógł widzieć wcale. —
„Panicz wrócił w swe pokoje. —
„Ja przebiegłam prędko salę,
„I zajęłam miejsce swoje,
„Ścieląc biednej pani łoże. —
„Ale pani we łzach cała,
„Wciąż jęczała: Boże! Boże!
„Aż się wreszcie rozebrała,

„I spać poszła. Ja zbiegana,
„Ległam tuż za parawanem,
„Mając zamiar spać do rana.
„Lecz tu, wierzcie, iż tem samém,
„Że chcę mówić, co się stało,
„Jeszcze dzisiaj siebie trwożę. —
„Spałam ledwie chwilkę małą,
„Gdy w tem słyszę: Boże! Boże!
„Krzyczy pani głosem trwogi,
„Miecznik! Miecznik! Jak szalona,
„Skoczę więc na bose nogi,
„Snem w połowie rozmarzona. —
„I cóż widzę? Wszyscy święci!
„Pani blada, jak trup cała,
„Nieprzytomna, bez pamięci,
„Dzikiém okiem poglądała
„W drzwi od sali, — w nich na progu
„Straszny Miecznik stał w milczeniu,
„Cały w czerni. Duszę Bogu
„Poleciłam i w zemdleniu,
„Padłam martwa nakształt kłody. —
„Co się potem stało, wiecie,
„Dwór się zbiegł i panicz młody,
„Ocucono i mnie przecie. —

„Ztąd ta biedna pani chora.
„Ja zaś chodzę, jak złamana. —
„Przywołano wnet doktora,
„I niespałam już do rana,
„Tak to było. Bóg łaskawy
„Niech nas w świętej łasce strzeże,
„Snać, znów będą ciężkie sprawy,
„Gdy czyścowe swoje leże,
„Rzucił Miecznik, by być z nami!“
Tem skończyła. — Kucharz stary,
Mrógnął okiem i wąsami,
Krzyż składając pełen wiary
Na zoraném wiekiem czole. —
Później patrząc się surowo,
Po zebraném służby kole,
Długo kiwał smutnie głową,
Wreszcie spytał się Oksany:
„A cóż na to pan powiada?“
„Ach ten biedny, pan kochany,“
Woła dworka: „też nielada
„Zasmucony tem zdarzeniem,
„Lecz cóż chcecie Niceforze,
„On nazywa to złudzeniem.“
Kucharz na to: „o mój Boże!

„Oj ci młodzi dzisiaj, młodzi!
„Mają rozum, ale wiary,
„Ani krzty, i to im szkodzi,
„I sprowadzić może kary,
„Na tę młodzież tak zuchwałą. —
„A tymczasem zawsze, wszędzie,
„Coby tam się nam zdawało,
„Tylko to, co Bóg da będzie!“
Stary z końcem tej perory,
Szedł do kuchni zamyślony,
Pilnie strzegąc swojej pory.
Mruczał jednak wciąż na strony:
„Oj Oksana, ta Oksana!
„Coś zbytecznie jęczy, wzdycha
„Jak ta sroczka, wygadana,
„Może kłamie też u licha!“

XXII.

Głucha, ciemna noc lipcowa,
Świat snem dawno już spowity,
Cały się jak w krepy chowa,
Albo w czarne aksamity.

W ciemném niebie głuche gromy,
Stroją blaski złowieszczemi,
Ciężkie chmury, jak skał złomy.
Chmury kształty potwornemi,
Zda się straszą biedną ziemię,
Co w dławiącej niby zmorze,
Jak w gorączce, cicho drzemie,
W tej ponurej, dusznej porze. —
Gdy noc taka, wszystkie blaski,
Są, jak płomień od pochodni,
W nocy takiej niema łaski,
Jak w miłości, tak i w zbrodni. —
W nocy takiej, jak w cieplarni,
Sztuczne siły życie budzi,
Zbrodnia cieszy się z męczarni,
Miłość w zwierząt zmienia ludzi.
Słabnie wola, a jak góry,
Straszne żądze wciąż się garną,
Niby w niebie czarne chmury.
Bo i w duszy ciemno, parno,
Jak w moszczańskim dzisiaj dworze.
Blade światło błyska jeszcze,
W jednej z baszt w tej późnej porze. —
A gdzieś zgrzyta i szeleszcze,

Chorągiewka, zardzewiała,
Na zbutwiałym pańskim dachu.
Dawno spała wioska cała,
Ciemno było w dworskim gmachu,
Orsak jeden nie spał tylko,
W swojej baszcie chodził w koło. —
Mary jego z każdą chwilką,
Miały ziścić się wesoło:
Dała wreszcie dobra matka,
Na ślub z Hanką pozwolenie,
Choć walczyła do ostatka,
Wywołując przodków cienie.
A Hrehory, choć zdziwiony,
Dziś nie łajał swoje dziecie,
Bo już wiedział, nie ze strony,
Lecz, mu panicz sam dziś przecie,
Odkrył zacne swe zamiary.
Na wpół wesół, wpół zmięszany,
Jak nie swój był czegoś stary. —
On zpokrewni się dziś z pany,
Swoją córką, swoją Hanną,
Próżność go objęła w końcu,
Hankę swą nazywał panną. —
Dziewczę zaś, jak gdyby w słońcu,

Promieniało szczęściem serca.
Najpomyślniej się składało,
I dziś brakło li kobierca,
By zakończyć wszystko z chwałą.
Czegoż smutny Orsak młody?
I w swej baszcie nie śpi jeszcze?
Zkąd przeczucie, nakształt kłody
Pierś mu gniecie i szeleszcze,
Niby kirem, groźbą w duszy?
Czyż i on dać może wiarę,
W to, że matka, w nocnej głuszy,
Chora biedna, jakąś marę,
Dopatrzyła gdzieś Miecznika,
I, że źle to wróżyć może?
Ależ wszelka mara znika,
Przed rozsądkiem, o mój Boże!
Więc, cóż dzisiaj go osmuca?
Czego tak mu w duszy czarno?
I tak ciężko dyszą płuca?
To w pokoju tym tak parno,
Na ścież okno więc odmyka,
I w noc głuchą topi oko,
Nigdzie światła i promyka
Jak daleko i szeroko. —

A powietrze duszne, parne,
Ciężkie takie, jak siekiera,
I jak widma chmury czarne. —
Chęć do snu go w końcu zbiera,
Legł więc w ciężkiem zamyśleniu,
Z czołem pełnem trosk i znoju,
Tuż na łoże swe w odzieniu,
I tak zasnął w niepokoju.
A w komnacie cisza głucha,
Tylko wpadłszy w dom pajęczy,
Nieopatrzna jakaś mucha,
Trwożnie skrzydłem biedna jęczy. —
A na stole, wpółprzyćmiona,
Dopalona lampka niska,
Świeci słabo, niby kona,
I iskrami czasem pryska.

. . . .

. . . .

Wtém skrzypnęły drzwi dębowe,
Odmykają się leniwo,
I w nich widać Jurka głowę,
Z czarnym włosem niby grzywą, —

Służyć panu późna pora,
Czegoż skrada się do łoża?
Ma czerwoną twarz upiora,
W ręku z tyłu błyski noża!
Pochylony naprzód cały,
Skrada się, jak tygrys srogi,
Oczy dziko mu błyszczały,
A ostrożnie drżące nogi,
To wstrzymywał, to szedł z cicha.
Jak powrozy, żyły w twarzy,
Krwią nabiegły, nie oddycha,
Tylko wzrok się ogniem żarzy. —
Wkrótce stał przy łożu zbliska,
Pochylony nad nim głową,
Ręką z tyłu nóż zaciska,
I porusza nim nerwowo,
Patrząc chciwie w twarz śpiącego.
Orsak w sennem rozmarzeniu,
Chcąc anioła widzieć swego,
Hankę nazwał po imieniu.
Tu strasznego coś się stało:
Jak pantera rozkiełznana,
Jurek swą postacią całą
Rzucił się na piersi pana.

Lewą ręką, wziął jak w kleszcze
Jego gardło, rozszalały,
Prawą, w śpiące łono jeszcze,
Po rękojeść wbił nóż cały. —
Senny zadrgał jak pod tokiem,
Zaszamotał się z swem łożem,
Spojrzał w Jurka straszném okiem,
Jurek trzymał go pod nożem. —
Wkrótce wszystko scichło w koło. —
Jurek otarł nóż skrwawiony
I swe nizkie z potu czoło,
Spojrzał dziko w różne strony,
Potem w trupa wlepił oczy,
W jego martwe, senne lice. —
Wreszcie błędny wzrok zatoczy,
Niby dwie jarzące świce,
I ku drzwiom się cicho skrada.
W tem o nieba! tam w alkowie,
Stoi jakaś postać blada:
Czarny kołpak ma na głowie,
Czarny kontusz, żupan biały,
Karabellę ściska w dłoni,
Z oczów ognie jej tryskały,
Straszny smutek w bladej skroni,

A na czapce w miejscu kity,
Dwa piszczele trupich kości,
Pas na biodrach srebrem szyty,
Stoi cicha wśród ciemności,
Stoi w progu i nieznika,
Patrząc srodze w Jurka oczy. —
Jurek poznał w niej Miecznika,
Więc przez okno, jak zwierz skoczy,
Od piekielnych duchów mocy,
W strasznym duszy swojej znoju,
Niby w otchłań, w łono nocy. —
Miecznik został sam w pokoju,
I powolnym ruszył krokiem,
Aż do łoża zabitego. —
Długo patrzył smutném okiem
Na potomka rodu swego,
Wreszcie upadł na kolana,
I modlitwę uroczyście,
Z głuchym jękiem wzniósł do pana...
Wtem przez okno wiatru tchnienie,
Zagasiło płomyk mały,
Kryjąc wszystko w mroczne cienie. —
A w komnacie pozostały:
Tylko zbrodnia wśród ciemności,

I duch w modłach, we łzach cały
Z niepowrotnej już przeszłości!..

XXIII.

Stare zdania, — mądrość świata.
Mówią, że wieść zła, szeroko
I daleko wnet przelata,
Dobre zaś, jak żółw się wloką. —
Wieść o śmierci więc Orsaka,
Zabitego w własnym domu,
Poleciała lotem ptaka,
Przerażając nakształt gromu
Cały prawie kraj do koła.
Niby pierwsze nieszczęść znaki,
Pociągnęły wnet do sioła, —
Różne baby i żebraki,
Szepcząc ciągle swe pacierze
I życzenia bez wyboru. —
A czy szczerze, czy nie szczerze,
Modlą się w dziedzińcach dworu,
Zapełniając wszystkie ganki.
Ludzi tłok napłynął cały:

Różne pany i półpanki,
Po komnatach się szastały.
W koło szepty i westchnienia
Każdy niby czegoś czeka,
Wśród zaduchy i milczenia. —
Tu łzą szczerą drży powieka,
Tam bezmyślny głos pacierzy. —
A wśród wielkiej dworskiej sali
Młody Orsak w trumnie leży,
Mnóstwo świec się w koło pali,
Że, aż w sali od nich parno. —
Trumna srebrem kuta cała,
Obijana lamą czarną,
Na wzniesieniu spoczywała. —
A na ścianach, ze stron obu,
Antenatów szereg zwarty,
Z czarnych płócien, niby z grobu,
Patrzy cicho, nakształt warty,
W umarłego piękne lice.
Łzami, zda się świecą oczy
Przodków w koło jak gromnice
A ich tłum się cały tłoczy,
Z orderami, z buławami,
Niby szepczą modły szczere,

Zda się z ram swych zejdą sami,
I zanócą: miserere!
Dziad z kościoła siadł na stronie,
Robiąc ciągłe krzyża znaki,
Szepcze modły, chyli skronie,
I zagląda do tabaki. —
Świece jasno płoną w koło,
Strojąc w blask i dziwne mroki,
Umarłego blade czoło. —
W sali ciche gości kroki,
I mdłe świec woskowych wonie. —
Naraz, tam, gdzie główne ganki,
Jakiś gwar się zrobił w stronie,
I na progu postać Hanki,
Biednej Hanki zaświeciła. —
Weszła cicha, korna, biała,
Twarz jej tęskna, zawsze miła,
Dzisiaj dziwnie promieniała,
Tym spokojem, jaki w duszę,
Bóg wybranych swoich wkłada.
Gdy iść mają na katusze,
A prowadzi ich śmierć blada,
Ścieląc w grobie im całuny. —
Weszła w strasznej duszy męce,

Wytężając życia struny,
By żyć jeszcze. Drobne ręce,
Jak w modlitwie, na swem łonie,
Zacisnęła i w obrazy,
Patrząc się, pochyla skronie,
I pokłony po trzy razy,
Prawie, aż ku ziemi składa. —
Później z suchém, błędném okiem,
Jak koszula jej, tak blada,
Uroczystym, chwiejnym krokiem,
Tuż do trumny się przybliża,
I znów nad nią chyli skronie,
Robiąc trzykroć znaki krzyża. —
Wreszcie bierze lube dłonie,
Uroczyście, niby święte,
I całuje je schylona. —
Tu warkocze jej rozpięte,
Z młodej głowy, jak korona,
Upadają w złote zwoje,
Na lubego twarz i czoło. —
Wtem zakryła oczy swoje
I krzyk straszny, dziki w koło
Wśród zdumionej rzuca sali. —
Niby senna się zatoczy,

Kilka świec za sobą wali,
Wreszcie pada. Zwój warkoczy
Od świec w ogniu na niej płonie. —
Zgroza, przestrach w całej sali,
Wszyscy chylą nad nią skronie,
Gaszą warkocz, co się pali,
Cucą zmarłą, czy zemdloną. —
Ale Hanka już szczęśliwa,
Zimne serce jej i łono,
Tuż przy lubym, już nieżywa. —
Niby kwiat, co go zmrożono,
Padła w sali na kobierce:
Krwią zalało młode łono,
Rozerwane bolem serce. —
Tylko w ustach, co jak róża,
Śmiały się do słońca w biegu,
Krwi serdecznej, kropla duża,
Pozostała, jak na śniegu. —

XXIV.

Dziś w Moszczanach dwa pogrzeby...
Więc w Moszczanach dzwonią wiele,

W ruskiej cerkwi już od rana,
Dzwonią także i w kościele.
Tam chowają zwłoki pana,
Na rydwanie, pod osłoną,
Wiozą wolno i wygodnie,
Duchowieństwa liczne grono,
Płoną świece i pochodnie,
Wiatr szeleści chorągwiami,
Zda się zerwie je ze drzewa,
Chór kapłanów zaś z księgami,
Pieśń żałobną głośno śpiewa.
Krzyż złocony tam na przedzie,
Bożej łaski niby oko,
Smutny orszak śmierci wiedzie,
I podnosi się wysoko. —
Tu znów pogrzeb prostej chłopki,
Biednej Hanki Hrehorego:
Już chorągwie ponad szopki,
I nad dachy chaty jego,
Szumią czarną swą oponą. —
Pięknej Hanki martwe ciało,
W prostą trumnę ułożono,
Owinięte w chustę białą.
Lamą, w złoto przetykaną,

Całą trumnę otulono,
I złożono ją na siano. —
A na trumnę, na jej łono,
Położono bochen chleba,
I jaglaną kaszę w głowie,
Bo z powrotem dać potrzeba,
Ludziom kaszę zjeść na zdrowie,
I na chwałę pana Boga. —
Stary Hrehor, jak w obłędzie,
Wasylina jęczy w progu, —
Już chorągwie stoją w rzędzie,
Trumnę na wóz położono,
Stary paroch siwowłosy
W czarnej ryzie. Przy nim grono
Młodych diaków w zgodne głosy,
Zanócili pieśni razem. —
Pochylili wszyscy głowy
I z świecami i obrazem,
Ruszył pochód ten grobowy,
Do cmentarza od wrót chaty. —
Pomięszane płaczek głosy,
Niby jęków rój skrzydlaty,
Poleciały w niebogłosy. —
Dwa pogrzeby się spotkały,

W swojej drodze do cmentarzy, —
Ten świat wielki i ten mały,
Tak odmiennej każdy twarzy. —
Był tu lud z całego sioła
Było też i panów wielu,
A choć różni niby zgoła,
Do jednego szli tu celu.
Młody Orsak, z wielkim tonem,
Spoczął w ojców swoich grobie,
Otoczony przodków gronem. —
W ciężkim smutku i żałobie,
Krewni, goście i sąsiady,
Stali wszyscy tu w półkole.
W każdej twarzy smutku ślady,
I poważna myśl na czole.
A z kamienia pomnik kuty,
Herby miał na cztery strony,
A wyniosły, pełen buty,
Błyszczał w gwiazdy i korony,
W rozmaite rodu znaki,
I w rycerskie godła dawne,
Jako dowód, że Orsaki,
Zawsze w świecie były sławne.
Hankę zaś pod darń zieloną,

W skromnej, prostej jej trumience,
W szczerą ziemię położono. —
Hrehorego własne ręce,
Położyły ją w mogiłę. —
Schylił biedny stary skronie,
Długo patrzył w szczątki miłe,
A żegnając swoją donię,
W tej wieczystej z nią rozłące,
Pierwszy rzucił grudkę ziemi,
Przełknął gorzkie, łzy gorące,
I pomodlił się z innemi. —
Później duży krzyż dębowy,
Na mogile zakopano,
I jak zwyczaj chciał domowy,
Kaszę, chleb żebrakom dano.
A na wóz, co przywiózł ciało,
Złotowłosych chłopiąt grono,
Najweselej już siadało,
I tém z wozu śmierć spędzono,
Która chciałaby znów może
Wejść pod wiejskich chat poddasza,
I zabijać jak we dworze,
Lecz ją dziatwy śmiech przestrasza,
Więc wróciła na cmentarze. —

A kochanków dwie mogiły,
Choć nie legły z sobą w parze,
Bardzo blisko z sobą były,
Rozdzielone tylko płotem,
I krzakami polnej róży. —
A gwarzono w siole potem,
Że gdy księżyc bywał duży,
To widziano w blasku jego
Białą postać ślicznej Hanki,
I panicza zabitego. —
Jak z róż dzikich pletli wianki,
Lub ująwszy się za dłonie,
W mrocznych cieniach od topoli,
Nachylali blade skronie,
I radzili o swej doli. —

XXV.

Czyż tu koniec opowieści?
Coż się z Jurkiem dzikim stało?
Czy nie było z dworu wieści?
Co z Hrehorym, — wreszcie z całą
Zabitego straszną sprawą?
Same tylko smutne dzieje:

W tydzień potem, gdy z obławą
Wjechał leśnik w Moszczan knieje,
Widzi stada wron nad lasem,
Co się to podniosą z krzykiem,
To opadną znów z hałasem. —
Biegą ludzie więc z leśnikiem,
I cóż widzą? Hen w wyrębie,
Na piaszczystym w lesie wzgórku,
Jurek wisi tam na dębie,
Na konopnym długim sznurku.
Wiatr kołysze go na strony,
Obracając pomaleńku,
I przestrasza leśne wrony.
A tuż na sosnowym pieńku,
Siedzi Kaśka dużej twarzy,
Podskakując na nim cała,
Sama z sobą o czemś gwarzy,
Widać biedna oszalała. —
A cóż robi dziś Hrehory?
Ciągle prawie pije stary
Ledwo włóczy się, tak chory,
Codzień widzi Hanki mary,
A gdy trzyma czarkę w dłoni,
Zwykle wtedy dumnie woła,

Że tak pije w cześć swej doni,
Najbogatszej pani sioła,
Jasnej Pani Orsakowej. —
Później łez ma pełne oczy. —
Nie dożyje wiosny nowej,
Robak śmierci już go toczy.
A w moszczańskim starym dworze,
Co był tak wesołym przecie,
Ach, jak smutno, o mój Boże!
Prawie tak, jak dziś na świecie. —
Sama Pani Orsaczyna,
Prawie rokiem nie przeżyła
Strasznej śmierci swego syna,
I ją skryła już mogiła.
A moszczańską całą schedę,
Zakupiły jakieś niemce.

RUDIN.

(NOWELLA).

RUDIN.

(Nowella.)

W ponure miejskie więzienie,
Przez kratę małego okienka,
W mroki więzienne i cienie,
Srebrzysta, blada i cienka,
Smuga się światła przekrada.
W celi na prostym tarczanie,
Wychudła, żółta i śniada,
W szarym, więziennym kaftanie,
Leżała Marta włóczęga, —
Umarła w nocy. Kim była,
I za co szara siermięga,
Młode jej ciało okryła,
Zkąd matką była tak wcześnie,
Zkąd dziecię miała przy sobie,
Czego jęczała tak we śnie,
Jak gdyby w ciężkiej chorobie?
Dla czego w cichej boleści,
Nad dzieckiem chwieje tak głową,

To ściska je czule i pieści,
To znów odpycha surowo?
Nikt nie dowiedział się o tem,
Wszystko ukryła mogiła. —
Mówiono tylko już potem,
Że Marta dom podpaliła,
Na wsi jakiegoś tam pana. —
Potem błąkała się w świecie,
Jak zwierzę, wszędzie ścigana,
Mając przy sobie już dziecię. —
Aż ją pojmano nareszcie,
I osadzono w więzieniu. —
A gdy badano ją w mieście,
Słuchała pytań w milczeniu,
Jak w febrze trzęsła się cała,
Milczała ciągle uparcie,
Lub tak żałośnie płakała,
Że sędzia, żołnierz na warcie,
Płaczem wzruszeni tak byli,
Iż zaprzestano badania. —
Aż oto zmarła w tej chwili,
W mroku szarego świtania,
Ta biedna, czy też zbrodniarka,
Ktoż zgadnąć może na świecie?

W blasku nędznego ogarka,
Leżała cicho jak dziecię,
Niby głęboko uśpiona. —
Płomyk czerwony od świecy,
Padał na twarz jej, ramiona,
I ostry profil kobiecy.
A niby pełen sam trwogi,
Żółtawe blaski roztoczy,
Zaglądnie w szkliste jej oczy,
Oświeci nagie jej nogi,
Migoce w słomie posłania,
Szary, czerwony lub siny,
Po ciemnych ścianach się słania,
Aż wreszcie w twarzy dzieciny,
Co śpi w kąciku więzienia,
Weselsze kreśli już koła.
A dziecię śpiące wśród cienia,
Ma postać, rysy anioła. —
Stare posłano mu worki,
Nędzna sierotki pierzyna,
Na nich to w złote kędziorki
Złożyła główkę dziecina. —
Tak spała Nad'ka maleńka,
Przy zmarłej matce bliziutko,

Długa, bledziuchna i cienka,
Spała głęboko, cichutko. —
Pieściła dziecię nieboszczka,
Lubili srodzy zbrodniarze,
Psuli ją wszyscy potroszka,
Feldfebel, rotny i straże.
I Rudin nawet zbój srogi,
Skoro nie było tuż świadka,
Chociaż w kajdanach miał nogi,
Wołał na dziewczę: chodź Nad'ka!
I huśtał dziecię wesoło. —
A zwykle po tej zabawie,
Zbój straszny wszystkim w około,
Człowiekiem stawał się prawie. —
Niedawno poznał on Nad'kę:
Gdy więźnie wodę nosili,
Ujrzał on dziecię i matkę.
I stał się strasznym w tej chwili,
Gdy spostrzegł bladą twarz Marty
Poskoczył ku niej jak dziki,
Przez konwój straży i warty,
Wydając głuche okrzyki.
Zdało się zabić ją leci,
W tem stanął, patrząc oczami,

Jakiemi patrzą się dzieci,
Zrobił ruch głową, rękami,
Coś bąknął głucho, ściął usta,
I wrócił z głową schyloną. —
Marta zaś zbladła, jak chusta,
Westchnienie wzniosło jej łono,
I jakby w ciężkim przestrachu,
Uciekła z swoją dziewczyną,
Do więziennego tuż gmachu. —
Cóż było strachu przyczyną?
I co z Rudinem się stało?
Pytali siebie żołnierze,
Mówiono o tem nie mało, —
Dosyć, — że Rudin, to zwierze,
Odtąd odmienił się prawie:
Spełniał nadzorcy rozkazy,
Do wszystkich mówił łaskawie,
A z Nad'ką ile się razy,
Spotykał czasem na dworze,
Dawał jej cacka, bułeczki,
I w złotym bywał humorze,
Gdy ujrzał postać dzieweczki. —
Pokochał Rudin tę Nad'kę,
Z zapałem serca dzikiego,

Ale nie pytał o matkę,
Jakby nie żyła dla niego,
Bywają cuda na świecie:
Ta dusza zbrodniarza, jak skała,
Gdy rączką dotknęło ją dziecię
W uczuciu całkiem stopniała,
Jak w słońcu szczęścia i łaski. —
Duch zrucił grzechu okowy,
Ujrzał nieznane mu brzaski,
I powstał człowiek w nim nowy!
Więc było dobrze tu Nad'ce,
Choć Martę w Sybir skazano,
Miała iść razem przy matce,
Cóż teraz czeka ją rano?
Czy będzie zawsze tak samo,
Że kiedy wstanie wesoła,
I pocznie: mamo! ach mamo!
„Co Nad'ku?“ mama zawoła?
Tymczasem wszystko w milczeniu,
Zawsze głęboko śpi Nad'ka,
A przy niej w mroczném półcieniu,
Leży umarła jej matka.
I cisza głęboka jest taka,
Że słychać dziecka westchnienia

I krok miarowy żołdaka,
Co straż tu trzyma więzienia. —
Połyska bagnet żołnierza,
Broń czasem brzęknie zdradziecko,
I warta krok swój rozmierza,
Pilnując zmarłą i dziecko. —
I słyszysz zda się jak w celi,
Przeczyste duchy z czartami,
Latają w czerni i bieli,
Szeleszczą cicho skrzydłami,
O zmarłą wiodąc tu sprzeczki. —
I widzisz stróża anioła,
Co głowę śpiącej dzieweczki.
Otoczył skrzydłem do koła. —
I słyszysz szepty ich, gwary,
Do koła zmarłej posłania,
I blade, niknące ich mary
W półszarym brzasku świtania.

. . . .

Naczelnik więźniów w humorze
Najlepszym zbudził się rano,
Zapytał co tam na dworze,
Gdy w tem wiadomość mu dano,

Że Marta z jakiejś niemocy,
Umarła nagle w więzieniu. —
Budzić nie chciano go w nocy,
Ztąd sprawa ta w zawieszeniu. —
„Czekamy tylko rozkazu!“
Mówili mu pachołkowie. —
Naczelnik zmarszczył się z razu,
Aż wreszcie tak im odpowie:
„Pal djabli wiedźmę, zbrodniarkę,
„Mniej będzie jednej w etapie,
„Przebrała dawno swą miarkę,
„Już nikt ją dzisiaj nie złapie. —
„Z nią sprawa kończy się cała,
„Więc wynieść ją do trupiarni, —
„Lecz mała po niej została,
„Tę na czas wziąść do piekarni,
„Resztę starszyzna rozważy.“
W tem u drzwi brzękły kajdany
I wszedł do celi wśród straży,
Odziany w szare łachmany
Rudin. — Olbrzymią miał postać,
Ogromne barki i głowę,
Nikt w sile nie mógł mu sprostać.
Ócz jasnych rzuty surowe,

Jak nóż błyszczały złowrogo,
Z pod brwi nawisłych, jak strzechy,
A wstrętem wiały i trwogą
Ust bladych jego uśmiechy. —
Do kolan schylił się prawie,
Przed naczelnikiem więzienia.
„Do was się bat'ku mój stawię!"
Rzekł Rudin i ścichł. „No bratku!"
Naczelnik wyrzekł łaskawie,
„Czego chcesz, powiedz w ostatku,
„W jakiej to stawisz się sprawie?
„We środę pójdziesz z etapem,
„Więc mów o swojej potrzebie,
„Upartym nie będę....
„Co wolno zrobię dla ciebie!"
„Bat'ku!" rzekł Rudin nieśmiało,
„Dajcie sierotkę mi Nad'kę,
„Ja pójdę na Sybir z tą małą,
„Będę jej ojcem i matką,
„Cóż się z robaczkiem tym stanie?"
Zakończył Rudin wpółłzawo,
„Zlituj się, daj mi ją Panie!"
„No, ja się zajmę tą sprawą,"
Odrzekł naczelnik łaskawie:

„Ojcem jej byłeś w połowie,
„Jak ojca, kocha cię prawie,
„Więc bierz ją sobie na zdrowie!“
Rudin przejęty radością,
Wdzięczny do kolan się chyli,
Oko mu błysło miłością,
Całkiem się zmienił w tej chwili:
Wesoło brzęknął w kajdany,
Raźnie wyciągnął się frontem,
I odszedł rozradowany. —
Rano nadzorca, gdy rątem,
Obchodził więźniów mieszkania,
Słyszy w więzieniu Rudina,
Dziecinne śmiechy, wołania,
Chcąc zbadać, co za przyczyna,
Tej wesołości w więzieniu,
Patrzy w okienko. — O dziwy!
Zbój w celi, w szarém odzieniu,
Klęczał pokorny, szczęśliwy,
Jak koń schylony na błoniu,
A na nim, niby na koniu
Nad'ka, i bije go w boki,
Targa za kudły czupryny. —
Jak koń zbój robi podskoki,

I dzwoni śmieszek dziewczyny!
„Wjo dalej!“ woła dziewczątko,
Już zapomniała o matce,
A niby lew i jagniątko,
Bawią się w celi, jak w klatce. —
W tem Rudin usiadł na ławie,
I Nad’kę wziął na kolana,
(Nadzorca patrzy ciekawie)
Dziewczyna cała zdyszana,
Z Rudina brodą się bawi,
A on ją gładzi po głowie,
I cicho do niej tak prawi:
„No baw się, baw się na zdrowie,
„Niechciała twoja mię matka,
„Wolała swego tam pana,
„Niechże mię kocha choć Nad’ka,
„Bo Marta dawno schowana. —
„Ona rzuciła mię w zbrodnie,
„Ona zatruła mi życie!
„Siedź sobie Nad’ko wygodnie,
„A może zaśniesz już dziecie?
„Och spatki, spatki, ptaszątko,
„Tyś się zmęczyła, mój Boże!“
I prawie śpiące dziewczątko.

Ostrożnie złożył na łoże,
Otulił szarą oponą,
Z ojcowskim twarzy wyrazem,
I by nie zbudzić uśpioną,
Nie brzęknął kajdan żelazem,
Nie stuknął trepką w podłogę. —
Potem sam usiadł na ławie,
I patrzył w śpiącą niebogę,
Jak gdyby marzył na jawie. —
Któż serce zbadał na żywo?
Kto duszę ludzką zrozumie?
Nadzorca widział to dziwo,
I odszedł w cichej zadumie!

. . . .

Zimny poranek jesieni,
Mgły suną szare, jak mary,
Pełne wilgoci i cieni. —
Jak widmo grzechu i kary,
Więzienne wznoszą się mury,
Łzami opływa z nich rosa,
Groźnie podnoszą się w chmury,
Sięgają zda się w niebiosa,

I przerażają ogromem. —
Choć wcześnie jeszcze, już straże,
Liczne się snują przed domem
Nadzorcy. — Senne ich twarze,
Świadczą, że wstały dziś rano,
Więc chodzą, jak pod harapem,
Wstać wcześnie dziś im kazano:
Więźniowie pójdą z etapem. —
Już kilka stoi furmanek,
Pod więźniów torby z rzeczami,
Ludzi gromadka przed ganek,
Ciśnie się z swemi prośbami:
Chłopki z chustkami pod brodę,
Żyd rudy, w brudnym kaftanie.

. . . .

. . . .

Dalej ciekawe gawrony:
Więc chłopi nędznych furmanek,
Bezmyślnie plują na strony,
Za nimi jakiś półpanek,
W końcu żydowskie dwie kozy,
Na chłopskim legły tuż sianie,

Przeszły przez straże i wozy,
I darmo jedzą śniadanie.
Wtem rumor powstał przed gankiem:
Ciężkie, więzienne podwoje,
Żołnierz otoczył półwiankiem,
Błysły bagnety i zbroje,
Zgrzytnęły zamki i bramy,
Rozwarto wrota więzienne. —
Z ciemnej ich głębi, jak z ramy,
Odziani w szare, sukienne,
Długie skarbowe kaftany,
Kroczą parami skazańce. —
Ponuro dzwonią kajdany,
Niby u zwierząt kagańce. —
Wszyscy, jak wyschłe już kłosy,
W milczeniu idą jak mary,
Do tej krainy, gdzie losy,
Pędzą ich w zimne obszary. —
Twarze ich w szarym kolorze,
Płci jednej zda się i wieku,
Tak zbrodnia ściera, mój Boże!
Wszystkie różnice w człowieku. —
Na końcu postać Rudina,
Z maleńką Nad'ką na ręku. —

Dziecię chusteczką czerwoną,
Ciepło okrytą ma głowę,
Ogrzewa stryjcia ją łono,
Więc, choć powietrze surowe,
Jak ptaszek cicho śpi Nad'ka. —
Rudin ją połą okrywa,
Patrzy w nią czule jak matka,
I on, i Nad'ka szczęśliwa. —
Na tle tych siermięg i latek,
I ludzi tych bez nadziei,
Jej główka świeci jak kwiatek,
Zbłąkany w śnieżnej zawiei. —
Na to, by w duszy Rudina,
Obudzić czucie, sumienie,
I by ta mała dziecina,
Dała mu może zbawienie,
Któż zbada niebios wyroki? —

. . . .

Tymczasem marsz nakazano:
Konwój przyśpieszył więc kroki,
I ruszył nogą spętaną,
I przeszli noga za nogą,
Miarowo dzwoniąc żelazem,
Więźniowie, Rudin i Nad'ka,

I łańcuch straży zarazem. —
I przeszli tak do ostatka,
Z furmarek długim ogonem. —
A tuman mokry i szary,
Coraz to gęstszym welonem,
Okrywał konwój, jak mary. —
Czasami tylko z mgły łona,
Zaświeci bagnet, lub błyśnie,
Nad'ki chusteczka czerwona
Jak kwiat w tumanie, lub wiśnie. —
Czasem wóz stuknie na bruku,
Kajdany brzękną nieśmiało;
Coraz mniej świateł i huku,
Aż wszystko we mgle stopniało,
I utonęło w oddali,
Jak senne jakieś widzenie,
Długo się ludzie pytali:
Gdzie Rudin, Nad'ka, — milczenie.

KONIEC